



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Wysłka administracyjna. — Leopolitana p. Juniusa. — Dziłki Tomek p. Marrené. — Tajemnice duszy (dokończenie) p. F. Bogackiego. — Badania historyczne: Mieszko Stary i jego wiek. S. Smolki p. W. Smoleńskiego. — Badania matematyczno-historyczne p. S. Dicksteina. — Pogadanki naukowe: O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich I. p. J. Baudouina de Courtenay. — Kronika rosyjska. — Liberum veto. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.

Upraszamy szan. abonentów naszych o wczesne nadsyłanie kwartalnej przedpłaty i tym sposobem oszczędzenie sobie przerw w odbiorze pisma a nam kłopotu i kosztu przedrukowywania jego wyczerpanych numerów. Skutkiem licznych opóźnień w kwartale bieżącym niektóre numera *Prawdy* musieliśmy drukować trzykrotnie. Ci z szan. abonentów prowincjonalnych, którzy z jakiegokolwiek bądź powodów nie zdążą przesłać pieniędzy przed kwartalem a życzą sobie nadal otrzymywać *Prawdę*, zechcą uwiadomić nas listownie.

Bezpłatny dodatek do *Prawdy*: **Sprawa polska w literaturze rosyjskiej** — rozesłanym będzie przy ostatnim numerze kwartalu bieżącego.

### WYSYŁKA ADMINISTRACYJNA.

Rok 1866 słusznie nazwano w życiu Rosyi datą nowej epoki. Wtedy to bowiem pozbawiona wchłchłwładzy administracya ustąpiła miejsca pod kontrolą ustaw działającym sądom, losy milionów przeszły z rąk samowoli policyjnej w ręce prawa. Była to chwila głębokiego, błogiego oddechu po zrzuceniu ciężaru z piersi narodu. Nie też dziwnego, że wprowadzenie reformy sądowej powitano niezmiernym zapalem i wysnuto z niej najradośniejsze nadzieje, nadzieje obywatelskiego bezpieczeństwa. I jakże było nie cieszyć się, nie marzyć, kiedy Ustawa postępowania karnego głosiła wyraźnie: „Nikt nie może podlegać dochodzeniu sądowemu za przestępstwo lub występki, kto nie był pociągnięty do odpowiedzialności sposo-

bem, oznaczonym przez przepisy tej ustawy. Nikt nie może być ani zaaresztowany, z wyjątkiem wypadków wskazanych przez prawo, ani zatrzymany w miejscach, nieprzeznaczonych ku temu przez prawo... Nikt nie może być ukarany za przestępstwo lub występki, podpadający pod jurysdykcję sądową, inaczej, jak na mocy wyroku odpowiedniego sądu, który się należycie uprawomocnił.”

Taka była podstawa nowej procedury. Od chwili wprowadzenia jej upłynęło lat kilkanaście, w ciągu których ubezwładniona administracya nie tylko powoli zaczęła odzyskiwać straconą siłę, ale wróciła do dawnej wszechmocy. Skutkiem tego wytworzyła się w ustroju państwa dziwna, niezmiernie niezłagodzona sprzeczność: z jednej strony jawna księga praw głosiła wielką zasadę: *neminem captivabimus nisi jure victum*, z drugiej — tajemna księga rozporządzeń (okólników administracyjnych) unieważniła tę zasadę i stwarzała sobie doraźną, niepodległą procedurę. Ujemne skutki tej kolizyi uznał naprzód sam rząd, zniósłszy tak zwany III wydział i poddawszy go pod zwierzchnictwo ministerium spraw wewnętrznych. Naród jednakże, który głęboko odczuwał niezależność od sądów gospodarstwa administracyi, zaczął ciągle dopominać się o ujednolinitwienie sprawiedliwości, o wykonanie woli Monarszej, wyrażonej w ustawach z 1866 r., zabezpieczających osobiste prawa każdego obywatela, słowem o zniesienie tak zwanej *ssyłki administracyjnej*. W pismach rosyjskich, w rozmaitych zebraniach sprawa ta zmartwychwstawała ciągle, aż nareszcie na posiedzeniu szlachty petersburskiej 1 marca wskrzesił ją członek tego zgromadzenia A. E. Szakiejew w sposób tak gruntowny, dzielny i prawdopodobnie skuteczny, że dziś jego mowa w tym przedmiocie jest może najwydatniejszym objawem bieżącego życia Rosyi. Ponieważ zaś ona potrąca

ważne interesa wszystkich żywiołów państwa, przeto poznamy z nią choć ogólnie czytelnika, tem bardziej, że praktycznym jej rezultem jest prośba szlachty petersburskiej, zanesiona do Tronu o „zniesienie wysyłki administracyjnej jako nieopartej na prawie i o ubezpieczenie osoby każdego obywatela.”

Szakiejew, przytoczywszy w obszernym wywodzie artykuły ustaw sądowych, przeszedł do zbadania podstaw administracyjnej wysyłki. „Uwaga do 1 art. Ustawy postępowania karnego brzmi tak: Do sądowego dochodzenia nie należą środki, przedsiębrane przez policję i inne władze administracyjne dla zapobieżenia i przecięcia przestępstw i występów sposobem, określonym przez prawo. Na pozór zdaje się, że uwaga ta daje administracyi prawo wysyłania bez sądu dla zapobieżenia przestępstwom. Lecz pogląd taki byłby błędnym. Ustawa o zapobieganiu i powstrzymywaniu przestępstw, wyłożona w postaci nakazu dla administracyi, znajduje się w XIV t. *Zbioru praw*, a tam nigdzie nie ma wzmianki o wysyłaniu bez sądu. Uwaga do 1 art. Ustawy postępow. karn. odnosi się głównie do 3 rozdziału części 6-ej, zatytułowanej „O zdrożnem postępowaniu”. W tej 6-ej części t. XIV po raz pierwszy spotykamy się z typem administracyjnej wysyłki. W prawie nie nosi ona tego miana, lecz zwie się inaczej, łagodniej: „oddaniem zdrożnego człowieka do rozporządzenia rządu.”

Załatwiwszy się z rozbiorem artykułów prawnych, Szakiejew zawiera je w następujących uwagach ogólnych: „Po wprowadzeniu reformy sądowej, obywatel rosyjski mógł rozumować mniej więcej tak: moja osoba i moje ognisko domowe są nietykalne; gdy do mojego domu wejdą przedstawiciele sądu i administracyi, mogą żądać od nich usprawiedliwienia tego wejścia, jeśli zechcą mnie zaaresztować bez prawnej



zasady, mogę oprzeć się takiemu gwałtowi i nadużycie władzy nie pozostanie bez kary; na wszelkie wreszcie bezprawne uwięzienie mogę podać skargę i skarga ta będzie uwzględniona.“ Mówca przypomina niedawne wypadki nieograniczonego gospodarstwa administracji z pominięciem wszelkich praw, kreśli obraz rozczerzania i przerażenia w społeczeństwie, które ogłuszone niespodziewanie straciło przytomność i zbłąkało się w sposobach legalnego zasłonięcia się od druzgoczących ciosów. „Pomału jednak — mówi Szakiejew — zobojętniało. Bez szemrania i protestów rozstawało się ono ze swymi członkami. Szeregi administracyjnych wygnańców zaczynają napępniać się nieletnią młodzieżą. Często nie popełniwszy żadnej winy, prócz znajomości, pokrewieństwa lub przyjaźni z człowiekiem niebezpiecznego kierunku, młodzież ta szła na bezcelową zatrutę nie tylko w dalszych guberniach Rosyi, ale i w Syberyi. I czemuż pocieszyć się miała pozostała na miejscu część społeczeństwa? Czyż mogła marzyć o jakichkolwiek ideałach spokojnego rozwoju, kiedy niemal co dzień lista ludzi, cierpiących czasem za nieostrożne słowo lub przekonania, za przejęty i źle przez administrację wytłomaczony list, za kłamliwe doniesienie niższego ajenta, za ostry protest przeciw gwałtowi — pomnażała się dziesiątkami nazwisk, kiedy wszyscy błakaliśmy się po omacku? Wysyłkę nawet z wyroków sądowych potępił uczeni kryminaliści; a tymczasem wysyłka administracyjna dostarczała od r. 1870 — 1877 Zachodniej Syberyi 57,249 skazanych, a Wschodniej 6,193. Dołączcie panowie do tego nieznaną ściśle, bezwątpienia znaczną cyfrę wysłanych do dalszych gubernij Rosyi, a mimo woli zastanowicie się nad pytaniem: co robić z taką epidemią? Jaki rezultat wydała ta gorliwość administracji; co uprzedzono, co przecięto? Bolesnie wyznać... nie! Taką przeżyliśmy dobę. Dziś oddychamy swobodniej, rany społeczeństwa zaczynają się goić. Śród największego rozwielenia

nia się reakcyi na czele administracji zniebywałymi przywilejami wola Monarchy postawiła człowieka, który, bez względu na okropność czasu, dzielnie wytracił administrację z jej nieprawidłowego toru; on mądrze pojął, że Rosyę zbawić można nie środkami represyjnymi, lecz przywróceniem prawa. Z tem słowem i przyrzeczeniem zwrócił się on do społeczeństwa i dowiódł wkrótce, że wyrazy jego nie są frazesami: zwinęto III wydział, wysłanych zaczęto powracać do domu. Pomimo wszakże całej naszej wdzięczności dla tego męża stanu, niezależnie od wszystkiego, co on zdziałać może w tym kierunku, potrzeba nam czegoś więcej, potrzeba nam Monarszego słowa, że już administracyjnej wysyłki nie będzie, że ktokolwiek by stanął na czele administracji, jakiegokolwiek miałby przekonania, nie wskrzesi tych strasznych czasów, które przeżyliśmy... Wystawcie sobie, jaki radośny okrzyk rozlegnie się po całej ziemi rosyjskiej, gdy zabrzmie to słowo; setki zmęczonych duchowo i fizycznie ludzi powróci do swych rodzin, błogosławiąc imię swojego Monarchy, który ich powrócił do nowego życia.“

Taka jest w głównych punktach mowa Szakiejewa. Nie możemy nad jej przedmiotem zastanawiać się bliżej, a nawet, szczerze mówiąc, nie potrzebujemy. Bo chyba teoretyczna strona tej sprawy nie wymaga wcale ani wywodów, ani dowodów i jest najzupełniej załatwioną; praktyczna zaś leży po za granicą naszych sił i uprawnionych życzeń. Jeżeli prasa rosyjska wprowadziła administracyjną wysyłkę pod publiczne rozprawy, to miała na widoku oddziaływanie na sfery rządowe w kierunku pożądanym. Pismo polskie, nie rozszczepiając sobie takiego znaczenia, nie może podejmować takiej roli. To też przytoczyliśmy mowę Szakiejewa nie dla tego, ażeby pod jej osłoną lub przy niej zabierać głos, którego echo nie wybiega po za koło naszych czytelników i nie sięga wysoko, ale dla tego jedynie, żeby zaznaczyć bardzo poważny objaw opinii rosyjskiej, który pośre-

dnio w pewnym kierunku i nas dotyczy. A jeżeli prośba szlachty petersburskiej zyska w najwyższych sferach przychylnie uznanie, w osiągniętym przez nią rezultacie i dla nas odpowiedni dział korzyści przypadnie.

## LEOPOLITANA.

### IV.

*Aggredior opus difficile!* Zamierzam Wam dziś pisać o t. z. „kwestyi ruskiej w Galicyi“, która od pewnego czasu w wiedeńskich centralistycznych pismach odgrywa rolę morskiego węża. Zabierając się do tego niewdzięcznego dzieła, sam nie wiem, z jakiej mam zacząć becзки, i czy lutnię moją do poważnego, czy też humorystycznego mam dostroić kamertonu? Wistocie i jedno i drugie byłoby tu równie właściwem; — jeżeli bowiem z jednej strony „polityczna ta dziura w moście“ tamuje pochód nasz na drodze rozwoju i postępu, to z drugiej znów mamy tu do czynienia z jednym z owych klarnetów, o których Wam w poprzednim pisałem liście, — z klarnetem, którego dźwięk piskliwy budzi sympatyczne echa, heu! nad dalekim Dunajem, i — o dziwo! — do łez rzewnych w tej chwili porusza puszczone w doczesną odstawkę centralistycznych krokodyłów.

Nieobeznanym z tą muzyką mogą się echa stamtąd słyszane łatwo wydawać jako głos Racheli, która oplakuje synów swoich, mordowanych przez Heroda w galicyjskiej Romie, — a ci, którzy czytając wiedeńskie centralistyczne dzienniki, z pism tych czerpią swoje poglądy, mogą łatwo na podstawie zamieszczanych tamże „jęków boleści“ powziąć przekonanie, jakoby(?) w Galicyi istniał odrębny naród ruski, odrębności swej zupełnie świadomy, a w rozwoju swoim, w prawach swych i swobodach srodze przez „szlachecką, łacińsko-polską

## DZIKI TOMEK

Sala sądowa była rzęsiście oświecona. Sprawa przeciągnęła się do wieczora, bo też i dzień grudniowy był bardzo krótki, szary i pośepny.

Słuchano świadków, dopełniono śledztwa, potem powstał prokurator, w wymownych słowach opisał przestępstwo, ugrupował dowody, i kwiecistym stylem, jakim celował, wystąpił w charakterze wielkiego społecznego moralizatora. Wspominał o szerzącym się zepsuciu, o zgubnych obyczajach, o zatraceniu pojęć moralnych, o przykładzie, jaki wysoki sąd winien był dać ogółowi, wspominał coś także, chociaż mniej wyraźnie, o obowiązkach i sprawiedliwości a w rezultacie domagał się natarczywie, by w tym wypadku postąpiono z całą surowością prawa.

Nawiasem mówiąc, szanowny prokurator czynił to, ile razy tylko pełnił swój urząd; to też znanym był z surowości swoich wniosków, z kaznodziejskiego zapału i z kilku innych właściwości. I tak np. skoro tylko sprawa przeciągała się dłużej, co

często miało miejsce dzięki jego krasomówstwu, pan prokurator z lekkim sumieniem, jak człowiek, który dopełnił wszystkie, co dopełnić był powinien, szedł zwykle do klubu. W domu bowiem żona i dzieci zapewne dawno już obiad spożyły; w klubie zaś miał na zawołanie i obiad i szampana i towarzystwo, z którym zwykle zasiadał do kart. Wiadomo, iż przy szampanie i kartach czas płynie szybko; pan prokurator też najczęściej nad ranem dopiero wracał do domu, i, rzecz dziwna, stosownie do powodzeń lub niepowodzeń w grze, patrzył na świat w optymistyczny lub pesymistyczny sposób. W pierwszym razie uśmiechał się rozkosznie a wszyscy oskarżeni wydawali mu się niewinni, jak gołębie; w drugim, a przyznać to trzeba, nie równie częstszym razie, widział znowu zbrodniarza w każdej bez wyjątku ludzkiej istocie, jaka mu pod oczy podpadła, nie wyjmując żony i dzieci. Z tego powodu nieraz nawet zdarzało mu się obchodzić z niemi jak ze zbrodniarzami.

Niektórzy nazywali to zbyt gorliwością; co do mnie, sądzę, że miał słusność; bo przecież kiedy się jest prokuratorem, należy pamiętać o swojej godności i przypominać ją drugim.

Sprawa, w której teraz zabierał głos wysoki urzędnik sądowy, nie przedstawiała wielkiego interesu. Nie była to ani zacie-

kawiająca zbrodnia, której psychiczne motywa zwabiają do sali sądowej, nie już samych reporterów dziennikarskich, ale powieściopisarzy i powieściopisarki; nie było w niej ani przyprawy skandalu, ani przestępcy, należącego do wyższych warstw społecznych, ani nawet zakwestyonowanego porządku władz umysłowych. Szło o rzecz niezmiernie zwyczajną: o prosty rabunek na publicznej drodze, przyczem jakiś stary żyd, uderzony pałką w głowę, zakończył życie. Suma nawet, którą chciał przywłaszczyć sobie morderca, była mało znacząca; wynosiła co najwyżej paręset rubli, zaledwie tyle, ile kosztuje elegancka suknia balowa. Prawdziwie nie było się czem zajmować.

A jednak zajmowano się. Wielka o korynckich kolumnach sala pełna była, nie owej zwykłej hałastu obdartałów i kapociarzy, którzy szukają tu widowiska, praktycznej nauki z demonstracją na żywych przykładach, lub w końcu ciepłego kąta, gdzieby bezpłatnie spocząć i ogrzać się mogli — ale pełną istotnej publiczności.

Szły tam piękne panie, w kapeluszach, na których znać było pochodzenie z pierwszych magazynów, pawie pasowe i różnokolorowe pióra chwiały się nad jasnymi i czarnymi warkoczami, migotały gdzieś niegdzie złote zapinki. Z pod spuszczonej figlarnie grzywek jaśniały żywe spojrzenia,



intrygę“ krzywdzony. Tymczasem nie ma nic bardziej z prawdą niezgodnego nad te „bolesne jęki“, i najdrażliwszy nawet z tych ruskich Jeremiaszów, którzy skargi owe na wrzekomy ucisk polski podnoszą, nie zdołałby sumiennie przytoczyć jednego faktu, stwierdzającego prawdziwość tych żalów. Nie bywa u nas nikt prześladowanym, z powodu iż wedle grecko-unickiego obrządku Boga chwali, lub się do „ruskiej narodowości“ poczuwa. Droga do wszystkich dostojenstw i zaszczytów jest tak samo dla rusinów jak i dla polaków otwartą; a jedynym względem, który w razie współzawodnictwa pomiędzy ruskim a polskim kandydatem o wyborze rostrzyga, są zdolności, pilność i zasługi pretendenta. Swobodnemu rozwojowi ruskiej narodowości, ba nawet agitacyom rozkładowym, przez ruskich *narodolubców* prowadzonym nie stawia nikt zapory, a najlepszym tego dowodem jest swoboda, której w tej mierze używają i nadużywają pisma ruskie, walczące oczywistym fałszem, a krzewiące jad społeczny i nienawiść przeciw polakom, jakoteż waśń wyznaniową. Mowa ruska używa w sejmie, w szkole i w urzędzie tych samych praw, co i mowa polska, a o zastosowaniu tego lub owego wykładowego w szkole języka stanowi gmina, której orzeczeniu nikt się nie sprzeciwia, w razie gdy się ona za ruską mową jako wykładowym językiem oświadcza. Ilość wreszcie ludowych i średnich szkół ruskich stosuje się do potrzeby, i nie jest to wcale winą „łacińsko-polskiej szlacheckiej intrygi“, jeżeli tak mały procent rusinów nauki w ruskiej mowie pobiera, a znaczna bardzo liczba ruskiej młodzieży, pomimo istnienia ruskich szkół ludowych i średnich, do polskich i niemieckich nawet zakładów naukowych uczęszcza. Jest to prosty wynik wyższej po stronie naszej cywilizacji, większego mowy naszej wydoskonalenia, poważniejszego jej w społeczeństwie naszym stanowiska, nic więcej! Trudno jest winić o to polaków, że stanowisko to językowi swemu pracą licznych pokoleń wywalczy-

li, — tak samo jak trudno jest, przy uznanej zasadzie indywidualnej wolności i narodowego równouprawnienia, zmuszać młodzież ruską, aby, dlatego że się ruską urodziła, do ruskiej uczęszczała szkoły, albo też zakładać gimnazya z ruskim wykładowym językiem na to tylko, aby istniały od parady. Tego jednakże domagają się obecnie ruscy narodolubcy, a że się życzeniom ich nie czyni zadość, *inde irae!*

Wszystkie te dążenia, pretensye i zachcianki, wrzekomo w jego imieniu podnoszone, są dla ogółu ruskiego w naszej dzielnicy zupełnie obojętnym przedmiotem, a kłótnia o wiatr, która tak roznamiętnia jego samozwańczych rzeczników, nie budzi w jego umyśle najmniejszego zajęcia. Nie posiadając żadnych tradycyj samoistnego narodowego bytu, — przestrzenia i czasem daleki od owej kozackiej Ukrainy, kiedy za czasów Bohdana Chmielnickiego rozbudziły się były w ruskim ludzie mgliste jakieś dążenia do samodzielności, zakreśla kmiotek nasz ruski — on bowiem a nie kto inny stanowi lud właściwy — widnokrag swój kopcami rodzimej wioski, gdzie go ciemnota i bezradność w nędzy pograża, — gdzie mu zdzierca-żyd letejski trunek zapomnienia blaszanką wymierza, — gdzie mu paroch miejscowy pociechę niebieską krwawo zapracowanym groszem opłacać każe, — gdzie wreszcie w dworskim sadzie rodzą drzewa soczyste gruszki i czerwone jabłka, ciekawość jego i poządliwość budzące. Obcemi mu też są sympatyje i antypatyje jego prowodyrów, obcymi ich jałowe lingwistyczne swary, ich polityczne mrzonki, jakoteż ich etnograficzne poglądy, czy takowe Ruś jako odrósł innego, nie polskiego narodowego pnia, czy też jako samoistny społeczny organizm pojmują. Dla polaka jako polaka nie żywi kmiotek ruski żadnej nienawiści; czując to dobrze, że jakkolwiek go od nas różni mowa i obrządek, to jednakże łączy go z nami główna cecha wspólnej narodowości — tożsamość pochodzenia i obyczaju. Do różnic, o których właśnie wspomniałem nie

przywiązuje zresztą, pomimo silnej w tej mierze agitacji narodolubców, lud ruski żadnej wagi; — zazwyczaj bowiem poczyną rusin, przyszedłszy do pewnego dobrobytu i pewnego nabrawszy wykształcenia, używać polskiego języka w domowym pożyciu, porzucając przy tej sposobności często bardzo obrządek grecki dla łacińskiego.

Tak tedy nie ma t. z. „kwestya ruska“, w politycznem tego słowa znaczeniu w umyśle katolickiego ruskiego ludu żadnego gruntu, a „bolesne jęki“ ruskich Jeremiaszów, grasujące obecnie w szpaltach wiedeńskich pism centralistycznych, nie są niczem innym, jak tylko dźwiękiem klarnetu, którego piosenka nie jest wcale śpiewem, wyrrywającym się z piersi naszego społeczeństwa. Legenda o srodze uciśnionej ruskiej narodowości należy, jak już powiedziałem, do rzędu bajek o morskich węzach, a knowania narodolubców, będące wprawdzie zawsze kulą u nóg naszych, i „polityczną dziurą w moście“, stojącą postępowi naszemu na drodze, nie są nam wcale niebezpiecznemi, jak długo polem ich wichrzeń są polityczne mrzonki, lub jałowe lingwistyczne swary, dla których lud nasz ruski nie ma wcale zrozumienia. Tak zwana „kwestya ruska“ w Galicji jest, skutkiem miejscowych właściwości wschodniej części naszego kraju, niczem innym, jak tylko kwestyą siermięgi i surduta, kwestyą ciemnoty, nędzy, bezradności, i poządliwości naszego wiejskiego ludu, a może być tylko rozwiązana rozszerzeniem oświaty i dobrobytu. Charakter polityczny, który ona od czasu do czasu, mianowicie w chwilach cięższej pomiędzy ludem wiejskim nędzy, przybiera, jest tylko pozornym i tłomaczy się tem jedynie, że w wschodniej polaci naszej dzielnicy lud włościański przypadkowo (?) jest po większej części wschodniego obrządku, i ruskiej w domowym pożyciu używa mowy, podczas gdy majątniejsza, wykształcenijsza, i rządząca warstwa społeczna, od której, dlatego że rządzi, lud wiejski ratunku w nędzy swej i niezaradności wymagać może,

a przez delikatne woalki przebijają białe skronie, różowe lica i usteczka wiśniowe. Drobne, obeścięte rękawiczki, dłonie kryły się w mufkach z wyborowych futer, lub poruszały batystową chusteczką, z której rozchodziła się woń wiosenna fiołków i łąk skoszonych.

Pomiędzy paniami byli i panowie a najwięcej adwokatów. Ci ostatni odznaczali się gwiazdką u fraka i uwagą, z jaką przysłuchiwali się sprawie. Nie można tego było o tłumie niewieściom powiedzieć. Piękne i strojne główki poruszały się, zbliżały jedna do drugiej, i raz wraz na tle szeptów można było usłyszeć głośniejsze rzucane słowo lub śmieszek stłumiony.

Widocznie więc nie zwabiła tutaj pięknych pań wymowa prokuratora, bo zdawały się słuchać go niecierpliwie; kto wie, może nawet cała sztuka krasomówcza jego była dla nich stracona z powodu, że nie rozumiały urzędowego języka, a może gdyby rozumiały, równieby nie słuchały, bo cóż je mogła podobna sprawa zajmować? Widocznie, jeśli przyszły dosali sądowej, to zinnego powodu, bo zdawały się oczekiwać na coś ciekawie.

Spojrzenia ich zbiegały się nie na prokuratora, nie na składzie sądu złożonym z poważnych figur, które słuchały sprawy z całym pozorem uwagi; ale szły ku ławie oskarżonych; nie zatrzymały się jednak na

podśadnym, bo cóż ich mógł obchodzić ten prosty człowiek w zbrukanym siermiędze? Celem ich był jego obrońca.

I doprawdy pięknym paniom dziwić się nie było można; przeciwnie należało przyznać, że dawały dowód niepospolitego estetycznego smaku. Na obrońcę tego patrzeć było warto, bo nigdy wczesna sława nie opromieniła szlachetniejszego czoła.

Rysy jego nie posiadały może tej klasycznej poprawności, do której przywiązaniem jest konwencyonalne pojęcie piękna; ale twarz jego nosiła w najwyższym stopniu to znamie potęgi, jaką nadaje połączenie wysoko wyrobionej inteligencji, woli i charakteru.

Na głowie nieco kwadratowej, wypukłej, rozwiniętej zwijał się włos bujny, czarny, nieco kręcony i krótko przystrzyżony tak, iż doskonale były widne zarysy szerokiego czoła o wysokich kątach, które go jeszcze szerszem w skroniach czyniły. Pod gęsto zarostemi brwiami osadzone były oczy, pełne zmiennych blasków i obdarzone taką potęgą, iż nie każdy wzrok ich był w stanie wytrzymać; usta miały dumne, wyzywające zagięcia.

Z głową niedbale w tył odrzuconą spoglądał on na prokuratora, widocznie skupiając myśl, ażeby odpowiedzieć mu punkt po punkcie; czasem tylko coś na kształt

szydlerczego uśmiechu zamigotało w jego źrenicach, czasem ruchliwe nozdrza zadrgały lub spotęgał się wyzywający wyraz ust. Wszystko to jednak odbywało się bez współludzkiej woli; objawy te świadczyły zaledwie widzialną oznaką o wrażeniach jego, jak lekkie drgnienia fali świadczą o wirach i głębiach, na dnie jej leżących, bo adwokat nie zdawał się spostrzegać spojrzeń ku sobie zwróconych i tego całego tłumy, którego był przynętą. Nie spostrzegając, czy też nie dbał o niego. Co najwięcej była tam jedna para siwych łagodnych oczu. Właścicielka ich siedziała obok poważnej kobiety i zamiast wpatrywać się w młodego adwokata, jak to czyniła cała sala — spoglądała czasami tylko, jakby ukradkiem, jakby wstydliwie, a wówczas jasna jej twarz zabarwiała się lekko, i tajemniczy uśmiech skupionego szczęścia osiadał na ustach.

Widocznie adwokat zajmował jej myśl całą, a ten uśmiech i spokój całej postaci zdawał się świadczyć, że pomiędzy niemi dwojgiem istniał określony stosunek. Teraz jednak on zapomniał o niej, albo też odsunął ją na plan drugi, cały przejęty sprawą, która na jego barkach leżała.

W spokojnej nieszukanej postawie, wpatrzony w swego przeciwnika prokuratora, czynił wrażenie siły w spoczynku, ale można w nim było przeczuć niezwalczoną



łacińskim Boga chwali obrządkiem i polskiego używa języka. Objaw ten jest przy tych danych zupełnie prawidłowym i podobnym zresztą do chorobliwych objawów w ludzkim organizmie. Czujemy nieraznie-żnośny ból w głowie, jakkolwiek głowa nasza jest zupełnie zdrową, i choroba właściwie w żołądku wyłącznie swoje ma siedlisko.

Po tem, co w ostatnim liście moim o nędzy naszego wiejskiego ludu i zupełnem jego przez rządzących nam dzisiaj stańczyków zaniedbaniu pisałem, jasnem Wam już podobno będzie, dla czego t. z. „kwestya ruska“ dziś znowu u nas głowę podnosi. Zdawało się przecież, że smok ten apokaliptyczny po szczęśliwym rozwiązaniu spraw serwitutowych, zażegnany został na wieki, a wybory do sejmu w r. 1876 i do rady państwa w r. 1879 stwierdziły wymownie, że prowodyrowie ruscy utracili byli mir wszystkich w sercach i umysłach naszego wiejskiego ludu, który z działalności swych przywódców dostatecznego nabył przekonania o zupełnej ich nieudolności, i aż do zbytku stwierdzonym politycznym nihilizmie. Tymczasem smok ten staje znowu dzisiaj przed nami, zaczerpnąwszy siły w niezadowoleniu ludu przez nas niemal zupełnie opuszczonego, a stanąwszy na gruncie społecznych antagonizmów, wyzywa nas znowu do walki, groźniejszy niż kiedykolwiek, i więcej niż kiedykolwiek zażarty. Przebieg uzupełniających wyborów na posła do sejmu z kuryi mniejszej posiadłości stanisławowskiego wyborczego okręgu, gdzie polskiego kandydata p. Stanisława Brykczyńskiego pokonał kandydat „Rady ruskiej“ adwokat lwowski Jan Dobrzański, — aż do fanatyzmu posunięta energia, którą przy tej sposobności rozwinęła ruska agitacya, — nade wszystko zaś karność, jakiej dowód złożyły rozliczne, a do niedawna w wiecznej sobą waśni żyjące ruskie stronnictwa, świadczą wymownie, jak zaciętego, bezwzględne i wybornie zorganizowanego mamy przed sobą przeciwnika, i jakie nam z tej strony grozi niebezpieczeństwo.

W istocie patrząc na ten ruch niezwykle, panujący dziś w ruskim obozie, na tę niepojętą zgodę, z którą dziś w zwartym szeregu uderzają na nas wszystkie ich stronnictwa, tak te, które uczą o samoistnym bycie, jako też i te, które się poczuwają do przynależności do innego społecznego nie-polskiego organizmu, trudno jest nie uznać w tem widocznych znamion, że kwestya ruska w nową dziś wstąpiła fazę. Do niedawna jeszcze stały stronnictwa staroruskie (tak się bowiem mieni stronnictwo poczytujące się za odrośl rosyjskiego narodu), i stronnictwo narodowo-ruskie (takie miano przybrało stronnictwo marzące o Rusi jako samodzielnym społecznym organizmie) wrogo przeciwko sobie, a zacięty ich antagonizm, tudzież lingwistyczne i chietnograficzne swary znajdowały wyraz w nieustającej polemice ich organów: w staro-ruskim *Słowie* i narodowo-ruskim *Dile*. Tak samo miała się rzecz z obydwoma towarzystwami oświaty ludowej, a mianowicie z staro-ruskim *Obszczewstwem imienia Kaczkowskoho*, i z narodowo-ruską *Proświtą*, oraz licznymi ludowymi peryodycznymi pisemkami, jako to: *Rada ruska*, *Nauka*, *Batkiwszczyna*, *Hromada*, *Wicze* i *Ralom*. Antagonizm ten był tak zawziętym, iż niedawno temu, bo w listopadzie z. r. odmówiła *Rada ruska*, agitacyjny klub ruski pod rządami staro-ruskiego stronnictwa zostający, członkom narodowo-ruskiej *Proświty* wstępu na odbywający się właśnie wiec ludowy ruski, nie uznając w nich synów ruskiej ojezyny. Antagonizm ten nie istnieje już dzisiaj wcale i wstęp do staro-ruskiego *Domu narodnego*, będącego niejako politycznym reprezentantem i Mekką halickich rusinów, tak samo jak i wstęp do staro-ruskiego stowarzyszenia *Stauropigii*, jest już dziś dla członków narodowo-ruskiego stronnictwa otwartym. Polemika pomiędzy wrogiem sobie do niedawna ruskim dziennikarstwem znikła, a cała nienawiść, do której zdolni byli nieprzejednani do niedawna wrogowie, znalazła upust swój naturalny w szerzej obecnie już za-

krojonej, a z niezwykle dotąd zawziętością prowadzonej anti-polskiej i anti-unickiej agitacyi. Celują w tej mierze narodoworuskie *Dile*, tudzież wymienione wyżej pisemka ludowe, wszystkie hurtem zaprawne ślepą ku żywiołowi polskiemu nienawiścią, tudzież socyalizmem, pojętym w duchu hajdamackim, w duchu Gonty i Żeleznika, przedewszystkiem zaś narodowo-ruska *Batkiwszczyna*, która też z powodu gwałtownych swych artykułów cieszy się szczególniejszymi względami prokuratoryi, i niemal co chwila ulega konfiskacie.

Nie mniejszą w tej agitacyi odgrywają rolę wzmiankowane ruskie towarzystwa ludowej oświaty: *Proświta* i *Obszczewstwo imienia Kaczkowskoho*, których działalność na wskrós polityczną nazwać wypada, a które pod pozorem nauczania ludu, krzewią jeno jad narodowej, wyznaniowej i społecznej nienawiści. Towarzystwa te mają w osobie księdza, diaka, i nauczyciela wiejskiego naturalną filię w każdej osadzie, a nakłady ich rozchodzą się, sprzedawane na jarmarkach i praznikach, w ilości kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Wydawnictwa te czerpią treść swoją przeważnie z dziedziny ekonomii społecznej i historii. Jaka to zaś ekonomia społeczna i jaka historia, tego zdaje mi się mówić nie mam tu potrzeby. Ksiądz, diak i nauczyciel wiejski są zarazem w każdej wsi organami wykonawczymi *Domu narodnego* i *Ruskiej rady*, głównego reżysera ruskich wyborów, i prowadzą za pośrednictwem bractw cerkiewnych agitacyą polityczną wedle odebranego z tych źródeł rozkazu. Łatwo sobie wyobrazić, jaką może być przy tej organizacyi poufna agitacya przez tego rodzaju apostołów prowadzona, skoro już jawna, która w prasie wyraz swój znajduje, pomimo grozy prawa karnego i prasowej ustawy, tak zawziętą dla nas pała nienawiścią, i tak wybitnie przewrotowo swe dążności objawia. Jeżeli tu jeszcze wspomnę o dwóch stowarzyszeniach uczącej się młodzieży, a mianowicie o stowarzyszeniach: *Akademickiejskiej kruzok* i *Drużnyj tykhar*, w któ-

szermierza słowa, który czeka i gotuje się do walki.

Uznany jednogłośnie za najzdolniejszego pomiędzy współtowarzyszami, niepospolity publicysta, znany przymem z prelekcji jako nieporównany mówca, pierwszy raz wystąpił dzisiaj w charakterze obrońcy; dla niego zgromadziła się liczna publiczność. Wiedziano, że postanowił zwyciężyć w tej pierwszej potyczce i obronić chociażby najgorszą sprawę, że rzucił niedbałym uśmiechem ten zakład kolegom, że był niewyčerpany w argumentach, że posiadał tak wielki dar przekonywania, iż oprzeć mu się było trudno.

Sprawa rzeczywiście była najgorszą. Oskarżony Tomasz Jędras wprawdzie pierwszy raz stawał przed sądem, ale okoliczności obciążające go były takiej wagi, iż nie podobna było wątpić o jego winie.

Zbrodnia spełnioną została na wąskiej drożynie, prowadzącej od bitego gościńca do wsi Maliniec, gdzie mieszkał zarówno zabity Aron Cwibel jak podsądny, w lasku, położonym o niecałą wiorstę od karczmy, w której pierwszy szynkował.

Pałkę skrwawioną, którą ugodzony został, znaleziono podrzuconą w gestwinie o kilkanaście kroków od miejsca spełnionej zbrodni, a pałkę tę poznała cała wieś, jako należącą do Jędrasa. Alarm pomiędzy rodziną zabitego spowodował koń z wózkiem,

który wpadł do otwartej stajni karczemnej, ruszywszy zmiejsca wypadku prawdopodobnie w chwili, gdy lejece wypadły z rąk uderzonego Arona, i złoczyńcy wywlekli go z bryczki, ażeby poszukać pieniędzy.

Wprawdzie Jędras był pomiędzy tymi, którzy konie zatrzymali, ale spotkano go przed dwiema godzinami wprzód, idącego w stronę lasu.

Na trupie nie znaleziono wielkiego załuszczonego pugilaresu, w którym nosił na piersiach kwity i pieniądze, ani też w kieszeni drobnych, jakie miał zawsze osobno na małe podrózne wydatki; widocznie więc rabunek był powodem zbrodni.

Jędras nie używał we wsi dobrej opinii; chociaż młody, zdrow i silny, pracy nie lubił, ojcowizny nie miał żadnej, prócz zapadłej w ziemię chałupiny, w której żył czas jakiś ze starą matką, a po jej śmierci sam jeden. Pomimo to żył dostatnio; widywano go często w karczmie, prawie nigdy przy robocie. Matka umiała zamawiać rozmaite choroby, a baby we wsi lękały jej się, szeptały, że jest czarownicą i ażeby nie obrazić jej — broń Boże, dawały nieraz to garstkę lnu, to kądziel wełny, to trochę okrasy. Było jej więc wcale nie złe. Dary te jednak mogły starczyć na utrzymanie starej, ale nie na utrzymanie syna, który z wydatkami się nie rachował a po jej śmierci nie zmniejszył ich wcale. To też

gadano o nim różnie; ten i ów widział go włóczącego się w podejrzanych godzinach, miano go po cichu za złodzieja, ale koniec końców nigdy się nie wyraził nie pokazało.

W tym dopiero wypadku podejrzenia odrazu padły na niego. Aronowa i jej dzieci podniosły krzyk wielki, wskazując go jako sprawcę zbrodni i żądając sprawiedliwości; a że wójt, który właśnie wówczas był w karczmie, dbał o przyjaźń Aronowej, bo ta mu zawsze bez rachunku żadnego nalewała słodkiej wódki i araku, nie mógł zrozpaczonej wdowie odmówić tak małej rzeczy, jak aresztowanie Jędrasa. Bo wszakże, jeśli był niewinny, mógł się usprawiedliwić a przeciwnie, jeśli spełnił zbrodnię, to wójt tym sposobem działał wedle sprawiedliwości a w każdym razie stwierdzał swoją gorliwość. Krzyknął więc na sołtysa i dwóch parobczaków, którzy zbiegli się na wieść o wypadku, kazał go zatrzymać i zrewidować.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.



rych od czasu przejazdu Drogomanowa przez nasze miasto zagnieździły się przewrotowe zasady nihilistów, to będziecie mieli już dokładny *ordre de bataille* ruskiej agitacyjnej organizacyi, której roboty z powodów wyżej już przytoczonych z pewnem dziś powodzeniem organizm nasz społeczny nurtują.

*Junius.*

## TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

### VI.

W szczegółach różne tu znowu mogą być hipotezy, stosownie do obranego stanowiska zapatrywania się na istotę duszy. I tak możemy uważać duszę za istotę zupełnie *abstrakcyjną*, za istotę w pewien jakiś sposób *skojarzoną z ciałem*, chociaż różną od niego, lub wreszcie za *pewną tylko kategorię cech działalności ciała*.

Dusza, jako istota abstrakcyjna, jako taka *in potentia*, może posiadać wszelkie cechy, jakie tylko umysł nasz zdołał uznać za odpowiednie jej i zgodne z jej przypuszczalną naturą. Lecz dusza taka, jako wniosek nasz tylko dowolny, na zasadzie kontrastu ustalony, a uznawany przez nas za konieczny, nie nam ze zjawisk rzeczywistych wytłumaczyć nie zdoła. Fakty zaś dowodzą, że dusza i ciało są we wzajemnym ze sobą związku i że działalność obu jest możebną tylko pod warunkiem współdziałania. Dusza, niezwiązana z ciałem, niebędąca z niem w jakichś stosunkach — jest tylko mytem, nieprzemawiającym do naszego rozumu. Możemy ją uważać tylko jako najogólniejszą przyczynę zjawisk psychicznych, które występują dopiero w żywym organizmie, kiedy się on na świat pojawi, albo które już odbywały się do chwili śmierci organizmu, poczem ustały.

Dusza, uważana hypotetycznie, jako istota skojarzona z ciałem w pewien jakiś sposób, nie daje się usprawiedliwić niczem więcej nad rozumowanie. Hipoteza ta prowadzi tylko, przy jednostronnem rozumowaniu (a chociaż argument ten jest niemałej wagi, ale może być dobrym tylko do czasu, póki nie zostanie sprawdzony przez fakty, albo dzięki faktom obalony), prowadzi więc nas do ułatwienia budowy sylogizmów, to jest do względnej i czasowej prawdy, którą nawet — dotychczas przy najmniej — prędzej nazwać można wierzeniem, aniżeli prawdą. Nie możemy jej bowiem udowodnić faktami, a co więcej jeszcze, nie możemy przy jej pomocy tłumaczyć faktów, jeżeli się nie zgodzimy na to, że tautologia a tłumaczenie znaczą jedno i to samo. Owszem, pewne fakty przeczą temu twierdzeniu, mianowicie fakty dziecięcości charakteru i wogóle tak zwane wrodzone usposobienia i zdolności. Jeżeli dusza, pozostając indywidualną istotą, istotą przeto niepodzielną i całkowitą, to jest jeżeli jest duszą osobistą, właściwą pewnej jednej ludzkiej istocie, to w jakiż sposób wytłumaczyć, że jakaś jej część, ilościowo określić się niedająca, udziela się dziedzicznie potomkom, a nawet całemu licznemu szeregowi potomków? Udzielając się w pewnej jakiejś (niedającej się określić, wy-

mierzyć lub wyliczyć) części innym ludzkim istotom, dusza dzieli się na części, rozpada się, traci indywidualność, słowem cechy, które w niej, jako konieczne przypuszczamy. Zjawisko to zarazem podrywa teorię o jej nieskończoności, nieśmiertelności, jako istoty całkowitej, od której nie odjąć, lub do której nie dodać niepodobna. Inne też fakty mogą być tu odniesione, a mianowicie fakty nieomyślne i niezawodne rozwoju umysłowego pojedynczego człowieka. Jeżeli mówimy, że się rozwijają umysłowe zdolności człowieka, znaczy to, że się rozwijają zdolności jego duszy. Rozwój zaś duszy jest rzeczą zagadkową i zupełnie niezrozumiałą, bo niepodobna sobie wytłumaczyć powodów, dla których dusza jako całość pewna — w przypuszczeniu — zawsze jednakowa, sama w sobie posiadająca już treść pewną, gotową i jedną, miałaby się jeszcze rozwijać. Na czem polegać może ten jej rozwój i jaka może być jego dostateczna, wewnętrzna czy zewnętrzna, przyczyna? Dziwnem jest także i to, że nie ma dwóch zupełnie do siebie podobnych, pod względem umysłowym, ludzi, pomijając różnice, jakie zachodzą pomiędzy całymi narodami społecznymi, pomiędzy społecznymi starożytnymi, imiędzy dwoma poprzednimi a pierwotnymi i społecznymi dzikimi narodami. Uderza także fakt postępu i rozwoju umysłowego ludzkości, z zaznaczeniem zarazem faktu, że pomiędzy ludzkiemi rasami zachodzą i w tym razie różnice: każda rasa rozwija się we właściwy jej sposób, zachowując wiernie swe osobliwości. Wszystkie te fakty, o których tylko napomknąłem pobieżnie, są szeregiem argumentów, stawiających nas w położeniu bez wyjścia, gdyż każde z dwóch twierdzeń jest ze sobą w sprzeczności, chociaż oba są prawdziwe. Zawisłość od siebie wzajemna cech psychicznych i cielesnych tak jest uderzająca i stanowcza, że się stała punktem wyjścia antropologii<sup>1)</sup>, od której może należy spodziewać się z czasem rozwiązania wielu zagadek, na które zwróciłem uwagę czytelnika.

Dusza, uważana jako kategoria pewnych cech działalności ciała, to jest mniej więcej w sposób fizjologiczny, czyli też materjalistyczny, podobnie nie mówi o sobie naszemu rozumowi. Duszy takiej zrozumieć nie możemy przy jak największych usiłowaniach myśli. Jest ona niedorzecznością niczem nieusprawiedliwioną, jest bardziej metafizyczną, aniżeli może wszystkie inne metafizyczne twierdzenia.

Znamyż materję lepiej od duszy? W jaki sposób należałoby się zapatrywać na tę materjalną duszę<sup>2)</sup>? Co do materji, tyle tylko powiedzieć o niej można, że znamy

ją dzięki wrażeniom, jakie przy pomocy naszych zmysłów na nas wywiera; inaczej, że znamy nie samą materję, lecz nasze wrażenia. Na mocy tych wrażeń, utrzymujemy, że materja jest np. nieczuła i nieświadoma siebie. Co do duszy, wiemy, że posiada świadomość. Ale tu oto spotykamy się z trudnościami<sup>1)</sup>. Jeżeli jakikolwiek materjalny pierwiastek albo kombinacja tysięcy materjalnych pierwiastków w pewnej części są jednakowo nieświadome, to niepodobna sobie wyobrazić, w jaki sposób, dzięki tylko dodaniu jednego, dwóch... lub tysięcy materjalnych elementów i utworzeniu w skutek tego bardziej złożonej części, jak tą drogą mogłaby powstać istota, posiadająca świadomość? Nigdy, dwie te rzeczy są wprost z sobą sprzeczne. Kto dowodzi, że strona duchowa jest tylko produktem albo funkcją protoplazmy, lub jej molekuł, wyraża się słowami, z którymi nie łączy żadnej treści. Przecież nie podobna znaleźć w całości tego, czego niema w jakiejkolwiek z jej części... Niepodobna uniknąć dylematu: albo każda cząstka materji posiada świadomość, albo świadomość jest zupełnie odmienna od materji... Niepodobna też przypuścić, ażeby (nieświadoma) materja (protoplazma) mogła kiedykolwiek sama przez się zrobić się świadomą. Tak tedy co do duszy zawartej w materji, co do owej materjalnej duszy tyle tylko powiedzieć można, że połączenie w całość dwóch tak bardzo sprzecznych pierwiastków jest dla nas bardziej jeszcze tajemniczem, aniżeli nawet same materja i duch — każde z osobna. Nie znając bowiem żadnego ze składników, tem mniej znać możemy powstałą z ich połączenia się całość, a i sama łączność ich jest, według naszego rozumienia, rzeczą najzupełniej nieprawdopodobną, chociaż innym, a nawet bardzo poważnym umysłem, rzecz ta przedstawia się cokolwiek w odmienny sposób. „Związek umysłu z ciałem — pisze Bain<sup>2)</sup> — przyjmujemy jako fakt, podobnie jak przyjmujemy każdy inny związek np. ciepła ze światłem, magnetyzmu z tlenotlenikiem żelaza, ciężkość z materją bezwładną.“ Jakiż poważny wniosek da się zrobić z poglądu na tę sprawę, wypowiedzianego przez Baina? Oto, że mamy do czynienia z faktem, którego — o czem zapomina na chwilę Bain — zgola nie rozumiemy. Ale z faktami nie może być walki. Nikt też temu nie przeczy. Co się tyczy zaś takich związków, jak np. ciepła ze światłem, jest to podniesienie zjawiska odpowiedniego faktom związku, jaki zachodzi pomiędzy uczuciami a wolą, t. j. zjawisk jednego i tegoż samego rodzaju. Najogólniejszą wartość zestawień Baina ma zestawienie faktów pewnego związku materji i siły. Coś podobnego może ma miejsce w stosunku do materji i duszy. Ale w takim razie, dusza byłaby taką samą siłą, jak np. elektryczność lub ciepło. Cóż w podobnym wypadku zrobić ze świadomością? Ze względu na swą cielesną przyrodę człowiek jest materją, ulega więc wpły-

<sup>1)</sup> „Człowiek jest istotą zarazem fizyczną i moralną; każda klasyfikacja umiejtna powinna być oparta na tych dwu elementach, inaczej — powinna ona unaocznnić jednocześnie formy cielesne i zdolności umysłowe.“ Ob. L. von der Kindere — *De la race*, Paryż, Bruksella. 1868 r., str. 103.

<sup>2)</sup> Traktując powyższe pytania tylko pobieżnie, mnóstwo szczegółów pozostawiam bez wzmianki. Wszakże tu zaznaczam, że podobna terminologia już sama przez się wykazuje niedorzeczność hipotezy. Materjalna dusza jest zupełnie tem samem, co zimnogość, co biała-czarność, ciężka-lekkość, niska-wysokość i t. d.; już samo postawienie podobnej hipotezy jest zarazem jej zniesieniem.

<sup>1)</sup> O ile mi wiadomo, wypowiedział je pierwszy Alfred Russel Wallace. Ob. *Contributions to the Theory of Natural Selection*, 1876, r. X i przypisy Nr 2-gi.

<sup>2)</sup> *Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku*, polski przekład, Warszawa, 1874 r. str. 130.



## Badania historyczne.

*Mieszko Stary i jego wiek.* Napisał Stanisław Smolka. Praca, uwieczniona nagrodą przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881 roku 8-a, str. XXXI, 544.

Treść dzieła p. Smolki mieści się w sześciu, organicznie powiązanych rozdziałach, pod tytułami: 1) kraj, 2) społeczeństwo, 3) państwo, 4) monarchia zachwiana, 5) próżne zabiegi, 6) przegrana. Trzy pierwsze przedstawiają Polskę dwunastego stulecia pod względem stosunków wewnętrznych i najistotniejszą część książki stanowią; ostatnie rozповідаją o potomstwie Krzywoustego aż do r. 1207 t. j. do ustąpienia Władysława Łaskonogiego z dzielnicy krakowskiej.

Fizyognomia kraju wyszła dość blado i najslabszą stroną dzieła stanowi. Objaśnić to trzeba najprzód szczupłością odnośnych źródeł, powtóre nieznacznością opisowego w autorze talentu. Język rozwekły a ciężki; sadzenie się na poetyczność przy braku twórczej fantazyi; kołysanie faktów na falach retorycznej wody; moc słów pustych, mających luki materiału załatać; — wszystko to złożyło całość i mglistą i uczącą niewiele. Za to rozdział o *społeczeństwie* odznacza się bogactwem treści, a nawet w sprawie własności prywatnej i nowością poglądu. Według teorii Bobrzyńskiego, w pierwotnym ustroju społecznym Polski ludność — z wyjątkiem duchowieństwa i szczupłej liczby rodzin szlacheckich — nie miała własności gruntowej żadnej: całe terytorium należało do króla, który mógł wieśniaka w każdej chwili z posiadłości rugować i z miejsca na miejsce przerzucać dowolnie. Zdaniem p. Smolki było inaczej. Istniała w pierwotnym społecznym Polski ustroju klasa drobnych dziedziców, która dopiero w dobie Krzywoustego przez ubóstwo do upadku się chyli i na cudzych — kościelnych lub książęcych — jako *homines liberi* i *hospites* osiada gruntach. Twierdzenie swoje opiera autor najprzód na analogii ze stosunkami zachodu; powtóre na wyrażeniach kroniki Galla, którego *ignobilis* i *gregarius miles* ma właśnie oznaczać drobnego dziedzica w odróżnieniu od szlachcica i niewolnika; po trzecie na znanym pomniku p. t. *Liber foundationis claustrii Heinrichow*, w którym występują nie *milites* i nie *nobiles*, ale także nie chłopci, bo mają własność ziemską, choć szczupłą. P. Smolka w osobnym dodatku (str. 413 — 428) polemizuje w tej kwestyi z Bobrzyńskim, lecz, zdaniem naszym, hipotetyzuje tak samo, jak i głośny przeciwnik. Nie wskazał pozytywnego faktu, udowadniającego istnienie, znikanie i przeobrażanie się drobnych dziedziców w grupę, znaną w pomnikach XIII w. pod nazwą *homines liberi* i *hospites*; przeważnie na gołych wyrażeniach Galla teorię swoją opiera i dla tego nie twardszy od Bobrzyńskiego ma grunt pod sobą. Jedynie wsteczna metoda badania, zastosowana przez Wojciechowskiego, może kwestyę sporną zczasem rostrzygnąć i który z uczonych ma rację — okazać dowodnie.

Do charakterystyki społeczeństwa wyzyskuje autor przeważnie dyplomaty XIII stulecia; a mało znajdując znamion, wyłączenie wieków dwunastemu właściwych, powtarza spostrzeżenia Hubego, który przy wykładzie prawa polskiego materiałów używał tych samych. Niektóre z kwestyi, niewyjaśnionych przez naukę, p. Smolka pominał lub wytłumaczył je mylnie. Opuszczył grupy ludzi niewolnych, znanych pod nazwą spudowników i divotików; nieuwzględniwszy pracowitych rozprawek: F. Zielińskiego (*Bibl. warsz.* z r. 1872) i Burzyńskiego (*Rozprawy i sprawozdania wyd. hist. filoz. VIII*), naroczników za niewyja-

śnioną poczytuje zagadkę (str. 59), a o dziesiętnikach nie stanowczego powiedzieć nie umie. Komorników definiuje wątpliwie i zbyt obszernie. Powiada, że „prawdopodobnie odprawiali kolejno służbę pokojową na zamkach i do posług pospolitych wszelkiego rodzaju byli przeznaczeni“ (str. 59); gdy „kasztelan miał kogo przed swój sąd pozwać, czy na inne posyłki lub nawet do wybierania danin z chłopskich osad potrzebował ludzi, zawsze dość było na grodzie komorników, gotowych na jego rozkazy“ (str. 121). Ostatniego twierdzenia nie wzmacnia autor cytata; źródła zaś, przytoczone dla poparcia określenia pierwszego, konstatują samo jedynie istnienie komorników, a nie upowazniają do wyrzeczonego przez p. Smolkę wyjaśnienia. Trafniej Lelewel nazwę komorników (istniejących zresztą i dzisiaj) wywodzi od komór t. j. izb, jakie ubodzy kmiecie dzierżawili w chałupach wiosek książęcych i pańskich (*Uwagi nad dziejami Polski*, § 10).

Rozdział o *państwie*, podobnie jak poprzedni, imponuje zasobem treści, chociaż trafnością poglądów celuje nie zawsze. Według p. Smolki, w dobie Krzywoustego „na silnych podwalinach olbrzymiej potęgi materialnej księcia wznosił się dumnie gmach jego bezwzględnej, niezmiegniętej nieograniczonej wszechwładzy...“ (str. 172); magnaci „nie mieli... żadnego udziału w rządach“ (str. 179); uchwały rady przybocznej „nie krępowaly w niczem woli książęcej, która sama stanowiła o wszystkim“ (str. 164). Łatwo z autorem się zgodzić, że „cała potęga magnatów polegała tylko na ich społecznym stanowisku;“ że „niemieliby jeszcze żadnych przywilejów, któreby ich od reszty narodu wyróżniały, żadnych praw wyłącznych“ (str. 179); — trudniej jednak podzielić pogląd, że na władzę książęcą wpływu nie wywierali żadnego. *Prawnie* Krzywousty mógł się cieszyć „bezwzględnością, niezmiegniętością wszechwładzą;“ *faktycznie* musiał ulegać wpływowi możnych, którzy od wypadku Bolesława Śmiałego głowy nosili hardo. P. Smolka zbyt słabo, zdaniem naszym, zaakcentował doniosłość upadku Bolesława Śmiałego w dziejach magnatów i nie dość wyraźnie zdefiniował charakter ruchu, który dzielnego króla przyprawił o zgubę. Według autora „zamęt i nieład wewnątrz był nieuniknionem następstwem awanturniczych wypraw Śmiałego bez troski o rządy w kraju...; nie co innego spowodowało zatarę jego z biskupem, tylko istotnie, tak jak to głosi tradycja, dbałość św. Stanisława o dobro swej owczarni, obrona ludności, wydanej na pastwę rozpasanego gniewu królewskiego“ (str. 175). Rzecz dziwna, p. Smolka dobrze rozumie knowania magnatów przeciwko synom Krzywoustego i trafia nie oceniam takiego np. biskupa Getkę, a w działalności Stanisława widzi jedynie dbałość o dobro owczarni i za przywódzcę możnowładczego spisku uznać go nie chce. Czy — wiążąc dzieje Bolesława Śmiałego z losami synów Krzywoustego — można, zamiast ambitnych dążeń magnatów, za źródło ruchu przeciwko Śmiałemu poczytywać okrucieństwo królewskie i nieład? można twierdzić racjonalnie, że dla tego tylko „żelazna potęga wszechwładzy monarszej nie mogła Bolesława ochronić od katastrofy,“ bo „czczonym i wielbionym był biskup dla swej świątobliwości“ (str. 175)? godzi się zresztą stawiać domyślnie na czele opozycji przeciwko królowi Sieciecha, skoro wyraźnym przywódcą był biskup Stanisław?

Określiwszy władzę książęcą, opowiada autor o kasztelanach, poczem ciekawsze i bogatsze niż Roepell i Hube przedstawia uwagi o opolach, które były według p. Smolki podziałem kasztelanij, chociaż dawnością swoją istnienie pierwszych wyprzedziły o wiele. Ciężarom publicznym, oprócz porządnego wykładu w tekście, poświęca autor obszerny dodatek (str. 429 —

wom, jakie nań siły przyrody wywierają. Lecz siły te nie tworzą świadomości, tylko sprawiają ruch. Z tego stanowisko rozważany, człowiek jest podobny do wszystkich ciał materialnych, z jakich się składa przyroda, ale zarazem przez świadomość siebie od całej przyrody jest różny, gdyż przyroda — zdaje się — jest nieświadoma. Zwierzęta posiadają pewne cechy psychiczne, właściwe i człowiekowi, ale w mniejszym stopniu; rośliny znowu stanowią pod tym względem stopień niższy od zwierząt. Nie wiemy jednak, czy cechy są zupełnie jednakowe pod względem jakości na każdym z tych trzech stopni, czy też są zgoła różne. Jeżeli są różne, to na czym polega ta różnica? Jeżeli są jednakowe pod względem jakości, to dlaczego zachodzą różnice tylko stopnia, czyli ilościowe? Jeżeli wyższy stopień rozwoju duszy, jaki zajmuje człowiek, jest tylko dalszym ciągiem rozwoju, którego początek odnieść należy do roślin a następnie zwierząt, albo wprost do zwierząt tylko a nie do roślin, nakoniec możeby go szukać należało jeszcze niżej, mianowicie w królestwie mineralnem, wśród świata kryształów, to rozwój ten, ten postęp cóż nam zdoła wytłumaczyć? Na czym mogą polegać konieczne przyczyny tego postępu i dla czego jest konieczny?

Spotykamy się tu znowu z całą seryą pytań, którym umysł nasz sprostać nie zdoła. Wśród chaosu praw i wątpliwości poznajemy, że nie posiadamy zgoła możliwości, przynajmniej teraz, wytłumaczyć sobie tysiąca zjawisk, które bądź w nas, bądź zewnątrz nas samych zachodzą. A w tej ciemnej nocy tylko blade światelko świadomości nam przyswieca.

Przedsiębiorając niniejszą pracę, miałem na widoku podniesienie całego rzędu pytań, powiązanych ze sobą logicznie i co ważniejsza, odpowiednich rządowi zjawisk, powiązanych ze sobą — jak się zdaje — faktycznie. Ostatni argument, jakkolwiek może być osłabiony tem, że oczywistość pewna, dopóki nie zostanie naukowo stwierdzona, jest tylko hipotezą, jednakże czasowo musi być uważany za stanowczy przez każdego, kto przystępuje do badania zjawisk przyrody. Pytania te wykazały nam, że badane zjawiska są nie tylko *juxtapozycyjne*, ale w pewnym *consensus*, który powinien być wyjaśnionym, a który dotychczas był tylko spostrzeżony i nie prze staje być jako fakt jedynie uważany.

Co do wniosków, jakie się nam przy badaniach nawijają, należy być oględnym, albowiem łatwo je robić zbyt pośpiesznie, pod wpływem uprzedzenia. Grożą tu dwa niebezpieczeństwa, a mianowicie: przypuszczenia przyjemne dla nas pod jakimkolwiek względem skłonni jesteśmy uważać za prawdziwe, oprócz tego oddajemy pierwszeństwo prawdom, bodaj cząstkowym, byle namacalnym, ponieważ „rzeczy obecne i dotykalne“ wielki wpływ na umysł nasz wywierają. Największą, najważniejszą rzeczą, jest umiejętność kierowania się wśród manowców skrajnych poglądów, jakie nas z tropu zbijają, a wszelkie skrajne teorie — chociaż nie są bez pożytku, jako materiał do rozbioru — są w tym względzie najniebezpieczniejsze.

Feliks Bogacki.



447); o reformach gregoriańskich w Polsce rozszerza się bardzo i przedstawieniem testamentu Krzywoustego ustęp ten kończy. Razi w nim bezwzględność orzeczenia, że „za czasów Mieszka I nie znała Polska krajowej monety“ (str. 153) i że Kazimierz Odnowiciel *corke* w. kniazia Jarosława pojął za żonę (str. 157).

W trzech ostatnich rozdziałach prezentuje p. Smolka dzieje czterech synów Krzywoustego i dążności Laskonogiego do czasu ugruntowania się Leszka Białego na dzielnicy krakowskiej. Opowieść swoją opiera na źródłach znanych i pod względem faktycznym odkryć nie czyni; jednakże ściśle konsekwentnem przeprowadzeniem walki monarchizmu z możnowładczą potęgą nadaje swej pracy urok nowości, rzetelny budzący interes. Nie jest p. Smolka doktrynerem, zohydżającym Władysława II, jak Bartoszewicz, lub idealizującym, jak Hoffman; głęboko a z kunsztem kreśli fiskalną działalność Mieszka i stosunek Laskonogiego do kleru; ostro akcentuje wysiłki tych książąt, marzących o wskrzeszeniu samowładnej monarchii Chrobrego i przyczyny chybotliwych zabiegów w odpowiednim rysuje światło. Mylnie tylko żonę najmłodszego zsynów Krzywoustego mieni autor Grzymisławą (str. 279); zapomniął prócz tego przedstawić zachowania się Władysławowiczów po śmierci Henryka sandomierskiego, gdy osieroconą po nim dzielnicę objął Kazimierz.

Odmalował p. Smolka dwunaste stulecie o ile pozwoliła zasobność odnośnych źródeł. Można się z autorem w niejednym poglądzie nie zgodzić; można również tę i ową wskazać usterkę; jednakże przeważających zalet, które pracę jego cechują, nikt zaprzeczyć nie zdoła. Połączył autor gruntowną znajomość źródeł z odpowiednią metodą badania; konsekwencję w przeprowadzeniu zasadniczych dążeń i systematyczność wykładu z jasnością. Dzieło p. Smolki, chociaż badawcze, lekturę stanowi łatwą; pójść też powinno do rąk licznych czytelników, dla których nieobojętną jest przeszłość i wiedza.

Wł. Smoleński.

## BADANIA MATEMATYCZNO-HISTORYCZNE.

Historia nauk matematycznych. — Ważność i niezbędność tej nauki. — Matematyka w Polsce. — Stefan Rosinus. — Bibliografia Żebrowskiego. — Cantora *Od-czyty o matematyce*. — Papyrus Rhind — podręcznik matematyki z przed 4000 lat.

Z historii pojedynczych umiejętności najmniej może pociągającą dla większości ludzi wykształconych jest historia nauk matematycznych. W dziejach każdej innej umiejętności treść przedmiotów badanych daje się łatwiej odczuć lub odtworzyć, przedstawia więcej żywotności i zajęcia. Nawet historia takiej oderwanej gałęzi wiedzy, jaką jest filozofia, bardziej ku sobie pociąga z powodu pytań o świecie, duszy i innych, które zawsze zajmowały i zajmować będą umysły ludzi. Historia nauk matematycznych nie cieszy się takim uznaniem i jej przedmioty, nader abstrakcyjne, dla większości ludzi wydają się suchymi i nieprzystępnymi, a nawet zdaniem wielu osób wykształconych, nauki matematyczne nie doskonałą się, prawdy ich od wieków mają być niezmiennymi, a treść tych nauk, do rozwoju niezdolna, nie może być celem dociekań historycznych.

A jednak sąd taki jest najzupełniej fałszywy. Nie tylko pojęcia nauk matematycznych przedstawiają treść bogatą i zajmującą, ale i sam ich rozwój, ogólnym prawom rozwoju podległy, przedstawia ciekawe dzieje powolnych zmian i ulepszeń,

charakterystyczne momenty twórczości, epoki postępu i cofania się. Badanie tego rozwoju zajmować być winno nie tylko dla specjalisty matematyka, nie tylko dla historyka i filozofa, ale i dla każdego wykształconego człowieka, pragnącego zrozumieć, w jaki sposób ludzkość doszła do dzisiejszego stanu cywilizacji. Już na najniższych jej stopniach ludzkość posługuje się miarą i liczbą, powoli i stopniowo od najbardziej konkretnych działań rachunkowych wznosiła się do takiej potęgi abstrakcji, na jakiej stanęli: Archimedes, Newton, Lagrange i inni. Kto nie zna tych procesów rozwoju myśli ludzkiej, ten zaprawdę nie zrozumie dziejów umysłowego postępu! Wszak najświetniejsze zdobycze umysłu osiągnięto na tej drodze.

Historia nauk matematycznych, uprawiana z zamiłowaniem we Francji, Niemczech i Anglii, w ostatnich czasach ma wielu sumiennych i uczonych pracowników. Coraz większa specjalizacja wiedzy, coraz bardziej z dniem każdym rosnący i niepodobny do objęcia materiały, odkrywanie rozmaitych rękopisów i innych pomników wiedzy matematycznej, rzucających nowe światło na dzieje rozwoju matematyki — wszystko to czyni historię nauk matematycznych niezbędną. W rzeczy samej zajęła ona już dziś stanowisko bardzo ważne i położyła zasługi dla historii oświaty wogóle.

U nas, niestety, na polu tem, o ile wiemy, pracowników niema. Nawet historia matematyki we własnym kraju jest nam prawie nieznaną. Nie możemy wprawdzie popisać się przed światem zbyt wielu samodzielnych w tej gałęzi wiedzy myślicielami, nie sądzę jednak, abyśmy w wieku piętnastym i szesnastym na polu nauk matematycznych stali niżej od innych narodów. Nie mówiąc już o Koperniku, którym zajmowano się u nas względnie wiele, ale jeszcze niedostatecznie, o Broscyuszu, którym zajmowano się bardzo mało, znaleźlibyśmy bezwątpienia wielu innych mężów, których zasługi na polu rozpowszechnienia wiedzy matematycznej w kraju zasługiwałyby na zaznaczenie. Wszak w wieku piętnastym, do nowoutworzonego uniwersytetu w Wiedniu powołano na katedrę matematyki Stefana Rosinusa z Krakowa (por. Gerhard, *Geschichte der Mathematik in Deutschland*), wszak w wieku tym i następnym wydano sporo książek matematycznych<sup>1)</sup>, jak o tem przekonywa *Bibliografia Żebrowskiego*, dzieło sumienne i ważne dla tych, co by chcieli stawiać pierwsze kroki w badaniach matematyczno-historycznych. Żebrowskiemu należy się najwyższe uznanie za tę pracę, w której pokazał, co się z działy nauk ścisłych mieści na półkach bibliotek. Ale bibliografia historia nie jest. Historia szuka nici wiążącej fakty, szuka związku pojedynczych uśłożeń, ocenia je ze stanowiska ówczesnych metod i środków. Do takiej historii — pole u nas nie przygotowane; potrzeba przede wszystkim stworzyć monografie historyczne. Na półkach bibliotek, szczególnie Jagiellońskiej, mieści się, jak rzekliśmy, bogaty, niespożytkowany dotąd materiał. A czas po temu, by rozpocząć uprawę tego pola, czas poznać dokładnie, cośmy zdziałali, chociażbyśmy przekonali się mieli, żeśmy zdziałali bardzo a bardzo niewiele.

Ale zanim zdobędziemy się na dzieje matematyki w Polsce, korzystajmy przynajmniej z tego, do czego użyci innych krajów doszli w badaniach swych historycznych. Tym razem cofniemy się myślą w przeszłość bardzo odległą, bo na 17 wieków przed Chrystusem. W czasie tym

istniały już w starożytnym Egipcie podręczniki matematyczne, wykazujące stosunkowo wysoką wiedzę. Dowodem tego niedawno odkryty przez jednego z angielskich egiptologów i przechowany obecnie w British Museum papyrus, którego matematyczną treść odcyfrowali dwaj badacze: A. Eisenlohr i M. Cantor. Pierwszy z nich wydał pracę p. t. „Podręcznik matematyczny starożytnych egipcyan (*Papyrus Rhind* muzeum brytyjskiego), przełożony i objaśniony przez Aug. Eisenlohra, Lipsk 1877. Ciekawe dane o tym zabytku podamy według opracowania drugiego badacza M. Cantora, pomieszczonego w niedawno wydanym, świetnym dziele tegoż: *Vorlesungen ueber Geschichte der Mathematik, I Band*, odznaczającym się głęboką erudycją, samodzielnymi poglądami, znakomitem opracowaniem i wdziękiem wykładu. Przed umysłem czytelnika roztacza w dziele tem autor zajmujące obrazy rozwoju pojęć i nauk matematycznych u egipcyan, babilończyków, greków, rzymian i arabów; kreśli zasługi największych myślicieli świata starożytnego: Pytagorasa i Platona, Arystotelesa i Euklidesa, Archimedes i Apolloniusa z Pergy, Herona aleksandryjskiego i Plotameusza, Diofantesa i innych, których prace pozostawiały niezatarte ślady w nauce. Wykład Cantora dotyka i innych stron umysłowego życia narodów, których wiedzę matematyczną przedstawia, rozpatruje właściwości ich fantazy i wierzeń; słowem jest bardzo ciekawym przyczynkiem do historii cywilizacji ludów starożytnych.

Otóż właśnie na wstępie tego dzieła, o którym kiedyś może obszerniejszą wzmiankę podamy, zajmuje się autor najstarszym, rzec można, zabytkiem najstarożytniejszej z literatur. Takim bezwątpienia jest *Papyrus Rhind*. Początkowe wyrazy jego są następujące: „Przepis dla dojścia wszystkich rzeczy cennych..., wszystkich tajemnic, zawartych w przedmiotach. Książka ta napisana została w roku 33 miesiącu mesori, dniu... za króla górnego i dolnego Egiptu Ra-a-us, dającego życie, według dawnych pism wygotowanych za króla [Ra-en-m] at — przez pisarza Ahmesa.“

Po tych wyrazach autor Ahmes mówi o „przepisie uzupełnienia“, o „przepisie do obliczania spichrza okrągłego“, o „przepisie obrachowywania pól i t. d. Przepisów tych jednak wistocie nie daje, tylko przykłady na każdy gatunek zadań. Autor używa często wyrażen: powiedziano ci, tak mówi pisarz, rób, rób tak..., tam gdzie autor czasów dzisiejszych powiedziałby wprost: zadanie i rozwiązanie.

W zadaniach Ahmesa spotykamy liczby całkowite i ułamkowe. Liczby całkowite są pisane powiększej części pismem hieratycznym, idącym od ręki prawej ku lewej. Na wyrażenie liczb pierwszego rzędu: jeden, dwa, trzy... aż do dziewięciu liczb 2-go rzędu: jedna, dwie, trzy dziesiątki aż do dziewięciu dziesiątek, trzeciego rzędu: jeden, dwa, trzy... aż do dziesięciu tysięcy są oddzielne znaki; inne liczby oznaczają się przez przystawienie znaków tych liczb, z których się składają. Działania z liczbami całkowitemi odbywa autor nie z równą łatwością: dodawać umie dobrze, odejmować słabo, mnożyć tylko przy pomocy dróg bardzo złożonych, dzielenie — z trudnością mu się tylko, przy pomocy prób, udaje.

Ułamki występują przeważnie takie, których liczniki są jednostki, a więc tak nazywane ułamki zasadnicze. Ułamek taki oznacza się za pomocą liczby będącej jego mianownikiem, po nad którą stawia się kropka, nazywająca się *ro*. Istnieją oddzielne hieroglify dla ułamków  $\frac{1}{2}$  i  $\frac{2}{3}$ , i znaki hieratyczne dla  $\frac{1}{3}$  i  $\frac{1}{4}$ . Wszystkie inne ułamki znaków i nazw nie mają, i stąd powstaje zadanie wyrażania innych ułamków za pomocą ułamków zasadniczych. Istotnie na pierwszych kartach papyrusu

<sup>1)</sup> Zaznaczyć tu winniśmy, że p. W. Trybalski w swym godnym uwagi artykule „Arytmetyka“ wydrukowanym w *Encyklopedyi wychowawczej* zebrał ciekawe dane, dotyczące się książek arytmetycznych polskich.



znajdują się tablice, mające na celu ułatwienie tego rachunku. Czy tablice te powstały w ten sposób, że autor, będąc w posiadaniu ogólnej metody, stosował ją do tylu a tylu szczególnych przypadków, czy też są one zbiorem pojedynczych rachunków, niejako pojedynczych prób i doświadczeń — rzecz ta rozstrzygnąć się nie daje.

W niektórych zadaniach występują działania analogiczne z naszym sprowadzaniem ułamków do wspólnego mianownika, przytem mianownikami bywają i takie liczby, które nie są wielokrotnościami mianowników danych.

Następujące potem badania wchodzą w zakres równań stopnia pierwszego dziesiętniej algebry; niewiadoma nazywa się tu *haru*. Są tu znaki matematyczne dla oznaczenia dodawania, odejmowania, różnicy i równości.

Dalej idą zadania, któreby dziś zaliczyć można do teorii postępów arytmetycznych i geometrycznych; z jednego z nich wyciągnąć by nawet można wniosek, że autor umie sumować szeregi geometryczne przynajmniej szczególne.

Papyrus Ahmesa — jest nietylko nieocenioną skarbnicą, z której poznajemy wiedzę arytmetyczną i algebrę egipską, ale rzuca prócz tego bardzo ważne światło na układ miar i wag, używanych w Egipcie i na wiedzę geometryczną jego mieszkańców. Z wielu zadań można wyciągnąć niewątpliwe wnioski, dotyczące się miar zasadniczych, inne znów zadania wykazują, że egipcjanie byli w posiadaniu sposobów obliczania powierzchni i objętości. Sposoby te są co prawda często fałszywe; tak np. powierzchnię trójkąta równoramiennego otrzymuje Ahmes, mnożąc podstawę przez połowę jednego z równych ramion, i powierzchnię trapezu równoramiennego otrzymuje, mnożąc sumę dwóch podstaw przez jedno z ramion równych, ale i takie sposoby dawać mogły często przybliżenie dość znaczne. Uderza tu nadzwyczaj przybliżony sposób obliczania powierzchni koła. W jednym z zadań Ahmes daje przepis otrzymania kwadratu, mającego powierzchnię równą powierzchni danego koła, polegający na wzięciu za bok kwadratu średnicy koła, zmniejszonej o jedną dziesiątą jej długości. Z przepisu tego wyprowadzona wartość na stosunek okręgu koła do średnicy, to jest na liczbę  $\pi$ , wypada równą  $(\frac{16}{9})^2 = 3,16...$ , a więc dokładniejszą niż u wszystkich innych starożytnych narodów.

Dalej następują zadania na obliczanie objętości ciał, lecz z podanych rachunków trudno dojść kształtu tych ciał. Eisenlohr przypuszcza, że formami używanymi były formy stożka ściętego i piramidy ściętej.

Ale najbardziej godne uwagi są zadania geometryczne, w których dopatrzyć się można śladów nauki o podobieństwie, początków trygonometrii. W zadaniach tych mówi się o piramidach, lecz nie o objętości tych ciał, a o pewnym stosunku ich wymiarów. Stosunek ten nazywa się *seqt*, a porównywanymi długościami są *uchatebt* (prawdopodobnie przekątnia kwadratu podstawy) i *pyremus* (krawędź boczna), skąd poszła grecka nazwa  $\tau\omicron\pi\alpha\kappa\iota\varsigma$ . *Seqt* pozostawał w związku z kątem między ścianą boczną piramidy i jej podstawą, a wiadomo, że we wszystkich istniejących piramidach te kąty są jednakowe i prawie równe  $52^\circ$ ; odpowiadałby niejako dziesiętniej dostawie. W innym znówu zadaniu *seqt* odpowiada dziesiętniej stycznej trygonometrycznej.

Oto mniej więcej treść ciekawego zabytku zamierzchłej przeszłości, którego odkrycie rzuciło zupełnie nowe światło na stan wiedzy przed 4000 lat, której niepodobna odmówić względnie wysokiego rozwinięcia. Jeżeli zwrócimy jeszcze uwagę na to, że podręcznik Ahmesa był tylko podręcznikiem praktycznym, że miał być napisanym podług innych dzieł, to dojdziemy wraz

z Cantorem do wniosku, że prócz niego mogły istnieć inne podręczniki, więcej teoretyczne, w których mieściły się dowody przepisów podręcznika Ahmesa. Jak mogły być owe dowody, trudno odgadnąć, przypuszczalnie były to wnioski z więcej lub mniej ogólnych indukcji. Podręcznik Ahmesa, powtarzamy, był podręcznikiem popularnym dla użytku powszechnego, gdy tymczasem czysta wiedza przez kapłanów uprawiana ukrywała się prawdopodobnie w innych dokumentach piśmiennych. Czy takie dokumenty dadzą się odszukać, przyszłość rozstrzygnie.

S. Dickstein.

## POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich<sup>1)</sup>.

### I.

W uniwersytetach rosyjskich (według ustawy z r. 1863), jako też w wielu zagranicznych wykładana jest między innymi gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich. Oprócz tego można niekiedy spotykać ten termin tak w książkach, jako też w czasopismach popularno-naukowych. Tymczasem zapewne tylko niewielu z ukształconych czytelników ma zupełnie jasne pojęcie o tem, co należy rozumieć pod tą nazwą, pomimo że przedmiot innych nauk, wykładanych w uniwersytetach, zrozumiałym jest dla większości ludzi ukształconych. Dla tego sądzę, nie będzie od rzeczy, jeżeli postaram się tu w kilku słowach odpowiedzieć wedle możliwości na pytanie: co to takiego „gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich?”

W nazwie tej łączą się dwa pojęcia: „gramatyka porównawcza” i „języki indoeuropejskie.” Tym sposobem nasze ogólne pytanie rozkłada się na dwa szczegółowe: 1) co to takiego gramatyka porównawcza? i 2) języki indoeuropejskie?

Postaram się odpowiedzieć przedewszystkiem na pierwsze pytanie.

Wszystkim ludziom ukształconym wiadomo, że istnieje nauka, zwana botaniką, i że przedmiot jej zajęć stanowi badanie naukowe roślin; — następnie, że istnieje zoologia, zajmująca się badaniem naukowem zwierząt; że nauka, zwana astronomią, zajmuje się badaniem naukowem ciał niebieskich, i t. d. Wszędzie tu widzimy z jednej strony pewną sumę zjawisk jednorodnych, z drugiej zaś badawczy, naukowy stosunek do nich umysłu ludzkiego.

Jak rośliny, zwierzęta, ciała niebieskie i t. d., tak samo i języki przedstawiają zbiór zjawisk jednorodnych, i skutkiem tego mogą być przedmiotem badania naukowego. Nauka, opierająca się na idealnym i, prawdę mówiąc, nigdy niedającym się urzeczywistnić dążeniu umysłu ludzkiego do poznania wszystkich szczegółów, podchodzących pod ogólną kategorię mowy ludzkiej czyli języka, nazywa się badaniem języków, umiejętnością języka, językoznawstwem i t. d., albo też *lingwistyką* (od łacińskiego *lingua*, język), *glottyką*, *glottologią* (od greckiego  $\gamma\lambda\omicron\tau\tau\alpha$  lub  $\gamma\lambda\omicron\tau\tau\alpha$ , język i  $\lambda\omicron\gamma\omicron\varsigma$ , słowo, mowa, — a więc *glottologia* znaczy „mowa o języku”, „nauka (umiejętność) języka”, jak *zoologia* — „mowa o zwierzętach”, „nauka (umiejętność) zwierząt”), i t. d.

Co się tyczy nazwy *lingwistyka*, jako nauka języka, i *lingwista*, w znaczeniu „bada-

cza języka”, należy zauważyć, że nazwy te bywają używane także do oznaczenia praktycznej znajomości wielu języków. Z tego stanowiska *lingwista* jest człowiek, znający praktycznie wiele języków, t. j. władający nimi bez wszelkiej trudności. Takim znakomitym lingwistą, wtem właśnie znaczeniu, był kardynał Mezzofanti (ur. 1774 czy też, według innych źródeł, 1776—1849), który pod koniec swego życia mówił poprawnie, według podania, 58-u językami. Naturalnie nikt nie ma prawa narzucać innym swój własny pogląd na rzeczy, a tem bardziej nikt nie ma prawa wymagać od ludzi, używających wyrazu „lingwista” w dopiero co wzmiankowanym znaczeniu, ażeby dla dogodzenia nam odstąpili od swego zwyczaju. Jednakowoż nie można mięsząc pojęcia „lingwisty”, jako praktycznego znawcy i „wykonawcy” języków, z pojęciem „lingwisty”, jako ich badacza naukowego. Jeżeli człowiek, ulegający jak najrozmaitszym i najbardziej interesującym chorobom, nie jest wcale badaczem tych chorób czyli *uczonym* medykiem; jeżeli znówu człowiek, spełniający dokładnie wszystkie funkcje fizjologiczne, nie jest wcale badaczem tych funkcji czyli fizjologiem; jeżeli dobry wykonawca praw pisanych nie jest wcale ich badaczem, jeżeli genialnego poety nie można w żaden sposób utożsamiać z psychologiem, badającym proces twórczości poetycznej, — to również człowieka, wykonywającego dokładnie proces językowy różnymi sposobami, nie można uważać za badacza naukowego języka, czy też języków. A nawet często się zdarza, że ludzie, odznaczający się niepospolitemi zdolnościami do praktycznego przyswajania sobie języków obcych, są zupełnie niezdolnymi do świadomego i naukowego traktowania zjawisk choćby tylko języka ojczystego; nie mogliby więc nigdy wyrobić się na lingwistów w *teoretycznem* znaczeniu tego wyrazu. Z tego jednakże nie wynika, że badacz teoretyczny jakiegokolwiek języka albo też grupy języków powinien lekceważyć sobie ich znajomość praktyczną; przeciwnie, im obszerniejsze są pod tym względem wiadomości faktyczne, tem łatwiej i z tem większą korzyścią można pracować w naszej nauce. Przecież tak samo dla botanika i dla zoologa bardzo jest pożądaną jak najszczegółowszą znajomość, jeżeli tylko można, wszystkich odmian istot, przez nich badanych. A chociaż natura języka, jak również skomplikowanie i bogactwo napotykanych w nim faktów — uniemożliwiają badaczowi języka taką znajomość swojego przedmiotu, jaka jest dostępną dla botanika lub też zoologa, — to jednak konieczną jest rzeczą dążyć do gruntownego przyswojenia sobie jak można największej liczby języków. W każdym razie jednak nawet praktyczne badanie przez lingwistów teoretycznych różni się od *czysto praktycznego* ich studyowania przez kardynała Mezzofanti i indywidua jemu podobne, choćby tem tylko, że kiedy pierwsi studyują fakta języka zupełnie świadomie, ostateczny cel drugich polega na całkiem nieświadomem władaniu tym lub owym językiem z pomocą wrodzonych im zdolności czysto naśladowczych.

Z drugiej strony, jeżeli ogrodnik, obznajmiony gruntownie z jak największą liczbą roślin, albo też właściciel i znawca praktyczny jak najbogatszej menażery i akwaryum nie mogą sobie jeszcze rościć pretensyi do nazwy botanika lub zoologa, to również niesłusznie byłoby nazywać lingwistą tego, kto ogranicza się mniej więcej bierną, choćby nawet jak najdokładniejszą, znajomością samych tylko szczegółów językowych, albo też samym tylko opisem pojedynczych części języka, bez żadnego innego celu, jak tylko właśnie ta bierna znajomość i opis szczegółów. Są wprawdzie uczeni, uważający siebie samych i nawet uważani za badaczy języka, widzący jednak

<sup>1)</sup> Pragnęlibyśmy, ażeby popularność tego wykładu nie zmyliła czytelników co do jego treści. Zawiera on bowiem w prostej formie bardzo poważne uwagi i wywody naukowe, które rozjaśniają wiele pojęć błędnych i wprowadzają wiele nowych (*Red.*).



całą mądrość i ostateczny cel językoznawstwa, pod względem działalności piśmiennej, w układaniu gramatyk opisowych, słowników i w wydawaniu zabytków różnych języków, co się zaś tyczy znajomości osobistej i działalności nauczycielskiej, — w zaznajamianiu siebie i drugich tylko z tem, co spotyka się w gramatykach opisowych, w słownikach i w wydaniach zabytków; — przy czem, według zdania tych panów, powinno być jak najsurowiej zakazaniem robienie jakichkolwiek bądź większych uogólnień i wypowiadanie jakichkolwiek bądź hipotez. Do podobnych przesładowców myśli naukowej można zwykle w zupełności stosować łacińskie przysłowie: *Ars non habet osorem, nisi ignorantem* (Sztukę, albo naukę, nienawidzą tylko ludzie, z nią, nieobznajmieni). Ograniczając się przy badaniu zjawisk językowych wyłącznie tylko do strony opisowej, panowie ci nie robią tego wcale przez jakąś skromność, ale przeciwnie, chętną się swoją wstrzemięźliwością i „pozytywnością.“ Mnie się zaś zdaje, że nie mają się z czego chełpić. Widzieć ostateczny cel pewnej nauki w samem tylko zbieraniu materiałów i odmawiać sobie wszelkich uogólnień i hipotez — równa się zupełnemu niepojmowaniu, co to takiego nauka wogóle, a dana nauka w szczególności. Tak więc językoznawstwo, jeśli chce być zaliczone do nauk, powinno dążyć do jak najobszerniejszych uogólnień, zachowując przytem naturalnie wszelkie warunki dokładności i oględności metody indukcyjnej.

Wielu uważa *porównanie* za charakterystyczną cechę naszej nauki, i dla tego mówią oni bardzo chętnie o „językoznawstwie *porównawczem*“ (vergleichende Sprachwissenschaft), o „*porównawczem* badaniu języka“ (vergleichende Sprachforschung), albo też o „filologii *porównawczej*“ (philologie comparée, comparative philology), albo też nareszcie o „gramatyce *porównawczej*“ (vergleichende Grammatik, grammaire comparée) i t. d.

Co się tyczy pierwszej nazwy, „językoznawstwo *porównawcze*“ lub t. p., to przymiotnik „porównawcze“ jest tu zupełnie zbitecznym. Albowiem nie tylko każdy wniosek naukowy, ale nawet najprostszy sąd jest rezultatem porównania. Tak np. sąd „śnieg jest biały“ przedstawia rezultat porównania koloru śniegu z kolorem innych przedmiotów. Wymawiając 1, 2, 3..., przez to samo porównujemy wielkości liczebne; a ponieważ wszystkie wielkości matematyczne są rezultatem pewnego porównania, i ponieważ całe myślenie matematyczne nie jest niczem innem, jak pewnego rodzaju porównywaniem, więc przedewszystkiem należałoby mówić nie „matematyka“, ale „matematyka *porównawcza*.“ Rola zaś, którą „porównanie“ gra w językoznawstwie, spełnia ono także we wszystkich naukach indukcyjnych: tylko zapomocą porównania można uogólniać fakta i torować drogę zastosowaniu metody dedukcyjnej. Dla tego też określenie „porównawcza“ z równem prawem pasuje do wyrazów „geografia“, „geologia“, „zoologia“, „botanika“, „historia“, „psychologia“ i t. d., jednym słowem, z tego stanowiska wszystkie nauki są *porównawcze*.

Jednakowoż przy „językoznawstwie *porównawczem*“ przymiotnik „porównawcze“ ma znaczenie historyczne. Zawdzięcza on swoje pochodzenie nowej szkole, nowemu kierunkowi w językoznawstwie, który to kierunek dokonał odkryć wielkiej doniosłości. Polegał on na porównaniu pomiędzy sobą grup języków pokrewnych, głównie zaś na porównaniu języków „indoeuropejskich“ (na początku bieżącego stulecia). Podobne znaczenie historyczne mają też nazwy „anatomia porównawcza“, „geografia porównawcza“, „mitologia porównawcza“, „prawoznawstwo porównawcze“ i t. d. Ale jest to tylko jedna chwila w historii nauki, chwila, kiedy porównanie w kierunku

ku nieznanym dotychczas ze stanowiska naukowego, doprowadziło do ogromnych i zupełnie nowych rezultatów.

Nazwa „filologia *porównawcza*“, oprócz zbitecznego przymiotnika „porównawcza“, jest niedokładną jeszcze z tego względu, że przez „filologię“ rozumiemy zwykle inną naukę, o której stosunku do językoznawstwa powiem kilka słów niżej.

Nakoniec stosować nazwę *gramatyka porównawcza* do językoznawstwa wogóle — jest to brać *partem pro toto* (część zamiast całości), ponieważ gramatyka porównawcza czyli po prostu gramatyka przedstawia tylko jedną część językoznawstwa, które stawia sobie do rozwiązania nie wyłącznie gramatyczne, ale także i inne kwestye. Przymiotnik „porównawcza“ jest tu również całkiem zbitecznym i każda gramatyka jest porównawczą, prawdziwa zaś gramatyka naukowa pewnego języka może być tylko jedna, t. j. z jednej strony indukcyjna, z drugiej zaś historyczna i porównawcza w najnowszym znaczeniu tego wyrazu.

Tak więc, jeżeli naukę, której część stanowi „gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich“, nazywać nie według jej przemijających kierunków, ani też nie według pewnych naukowych operacji, w niej dokonywanych, ale tylko według przedmiotu badania w całej jego pełni, w takim razie, na podobieństwo „przyrodznawstwa“, najwłaściwszą nazwą dla nauki, której przedmiotem jest język, będzie po prostu albo „*badanie języka* i mowy ludzkiej w ogólności“, albo *językoznawstwo* i t. d., albo *lingwistyka*, *glottyka*, *glottologia* i t. p. Podobne nazwy niczego nie przesadzają, ale wskazują jedynie na przedmiot, z którego dziedziny bierzemy kwestye naukowe. Zresztą można nazywać sobie pewną naukę, jak się komu podoba, a w szczególności można upiększać ją przydomkiem „porównawczej“, byleby tylko wiedzieć, że porównanie stanowi tu nie cel, ale tylko jeden ze środków, i że nie jest ono wyłączną własnością językoznawstwa, ale ogólną własnością wszystkich bez wyjątku nauk.

*Językoznawstwo* dzieli się przedewszystkiem na *czyste* i *stosowane*. Czyste zajmuje się kwestyami czysto lingwistycznymi, t. j. bada języki i na zasadzie badań szczegółowych robi ogólne wnioski; stosowane zaś stosuje rezultaty językoznawstwa czystego do kwestyj z zakresu innych nauk (mitologii, etnografii, etnogenii, historii, kultury i t. d.).

*Językoznawstwo czyste* można podzielić na dwie części: 1) *pozytywną* i 2) *transcendentalną*. Językoznawstwo pozytywne ogranicza się wnioskami z faktów, dostępnych badaniu, transcendentalne zaś zajmuje się takimi zagadnieniami, które leżą właściwie poza granicami dostępnej dla badania rzeczywistości i mogą być rozwiązane głównie tylko za pomocą spekulacji i rozumowania analogicznego. Tutaj należy między innymi kwestya o początku mowy ludzkiej i t. d. Ale chociaż same kwestye są transcendentalne, t. j. odnoszą się do faktów, których nie można ani spostrzegać, ani sprawdzić, to jednakże metoda powinna być pozytywną.

Niektórzy lingwiści wyłączają zupełnie z zakresu lingwistyki czyli językoznawstwa podobnego rodzaju zagadnienia i oddają je w całości tak zwanym filozofom języka, którzy z swojej strony przywłaszczają sobie dziedzinę, do której ich wiadomości pozytywne nie dają im żadnego prawa. Według mnie filozofia języka bez gruntownej znajomości rezultatów językoznawstwa pozytywnego nie może wcale istnieć jako poważna nauka, ale tylko jako nieprodukcyjne młócenie słomy i co najwyżej, przyjemne zabijanie czasu. Podobnie filozof natury bez gruntownej znajomości nauk przyrodniczych nie może wcale być uważany za poważnego uczonego. Pomimo to nie można zaprzeczyć, że, jak w innych

dziedzinach działalności ludzkiej, tak też i w językoznawstwie istnieje podział pracy, i że jedni lingwiści zajmują się głównie częścią pozytywną swojej nauki, drudzy zaś głównie częścią transcendentalną. Naturalnie, nie jest wcale niemożliwością połączenia w jednej osobie wiadomości filozofa z gruntowną znajomością językoznawstwa porównawczego.

Pierwszą, a zarazem zasadniczą i najważniejszą część językoznawstwa stanowi *językoznawstwo pozytywne*, rozpadające się na dwa oddziały: 1) *gramatykę* i 2) *systematykę* czyli *klasyfikację języków*. Gramatyka jest to wszechstronny rozbiór składowych części mowy ludzkiej; systematyka zaś zajmuje się porządkowaniem języków, jako niepodzielnych całości, według ich cech charakterystycznych i według ich prawdziwego pokrewieństwa genetycznego.

Podstawę całego językoznawstwa stanowi *gramatyka*. Ze swej strony dzieli się ona na kilka części, stosownie do natury języka badanego. Tak np. w zastosowaniu do języków „indoeuropejskich“, rozpada się na *fonetykę* czyli *naukę o głoskach* (głosownię), na *morfologię* czyli *naukę o znaczeniowych częściach wyrazu* w ich wzajemnym związku i nareszcie na *składnię* (syntaksys) czyli *naukę o łączeniu wyrazów w zdania* i o ich znaczeniu w podobnych połączeniach. Ale taki podział daje się stosować nie do wszystkich bez wyjątku języków. Tutaj więcej, niż gdziekolwiek indziej, należy się wystrzegać wszelkiej „aprioryczności.“ Jak osteologia, t. j. nauka o kościach, możliwa jest tylko przy rozbiórce zwierząt, posiadających kości; jak badanie *prawodawstwa* i wogóle prawa pisanego możliwym jest tylko przy badaniu narodów, mających prawa pisane, tak samo np. nauka o końcówkach przypadkowych i osobowych, jako część gramatyki, możliwa jest przy rozbiórce tylko tych języków, którym w samej rzeczy właściwe są końcówki przypadkowe i osobowe. Z tego pokazuje się cała bezpodstawowość tych ogólnych, apriorycznych czyli tak zwanych „filozoficznych gramatyk“, w których jest miejsce np. tylko dla czterech przypadków, ani mniej, ani więcej, t. j. dla „wer-fall“, „wess-fall“, „wem-fall“ i „wen-fall“ (nominativus, genitivus, dativus, accusativus), bez względu na to, że w wielu językach nie ma wcale żadnego „fall’a“ (przypadku), w innych zaś bywa ich nawet po kilka dziesiątków.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

## Kronika rosyjska.

Jubileusz wielkiej reformy. — Mowa Kawelina. — Wspomnienia i nadzieje. — „Centralne kółko.“ — Usunięcie się Mendelejewa.

Dzień 3 marca (19 lutego) b. r. jako dwudziesta rocznica wyzwolenia włościan w Rosyi stanowi dla opinii publicznej a wszeogólności dla prasy niezgłębiony przedmiot rozpraw. Dzienniki pełne są uwag, rozmyślań, wynurzeń, rozczarowania lub nowych pragnień, — bo też w rzeczy samej fakt pierwszorzędnego dziejowego znaczenia usprawiedliwia w zupełności tak żywe zajęcie. Postaramy się zaznaczyć tu pokrótce główne tętą tych rozpamiętywań, o ile one znalazły wyraz w organach dziennikarskich.

Przedewszystkiem należy się uwaga mowie pana Kawelina, ogłoszonej w dzienniku *Poriodok*. P. Kawelin brał swego czasu udział w pracach redakcyjnych komisji, przygotowującej reformę; uważanym przeto być może za kompetentną a bezstronną powagę krytyczną po dwudziestoletniej jej próbie. Członkowie owej komi-



syi zebrali się w tym roku na uroczysty obchód pamiątki i przy tej to sposobności p. Kawelin wypowiedział wspomnianą wyżej mowę. Zauważywszy, że wyrażenie „uroczystość“ nie ze wszystkim licuje z przedmiotem obchodu, mówca powiedział dalej: „I to, cośmy w tych dwudziestu latach przeżyli, również mało usposabia do uczuć radosnych, do uroczystego nastroju. Któż z nas nie wierzył gorąco, że zniesienie niewoli da włościaninowi naszemu dobrobyt materialny, wywoła ekonomiczny rozkwit, poczucie osobistej godności i prawa, rozwinię oświatę i moralność, jednym słowem przyniesie z sobą wszystkie dobrodziejstwa obywatelskiej wolności?“ Nie można jednak posądzać mówcę, iżby przez skonstatowanie tego faktu chciał podać w wątpliwość samą wartość zasadniczej reformy. Bynajmniej. Rozczarowanie, jakiego ona stała się przyczyną, p. Kawelin tłumaczył tem, że „zaledwie tylko ustawa z 19 lutego 1861 r. stała się prawem, a natychmiast duch jej gdzieś uleciał, pozostała tylko litera; co więcej, nawet ta litera, gdzie tylko się dało, była tłumaczoną na szkodę, zamiast na korzyść milionów nowych obywateli. Praktyka administracyjna nie krępowała się zresztą nawet literą ustawy w przeszkadzaniu im w korzystaniu z praw otrzymanych.

Istota tych praw została skażoną. Wskutek tego do dawnej ciemnoty i nieokrzesania mas ludu przybyła jeszcze ruina doprowadzająca go do rozpacz. Prawna zawisłość i administracyjna nad ludem opieka złuzowana została przez równie bezlitosny i gorszy jeszcze ucisk ekonomiczny. O zbliżeniu interesów właścicieli dóbr i włościan nie ma ani mowy; rozdwoili się oni więcej niż kiedykolwiek a wzajemne ich stosunki zaostrzają się wybitnie.“ Zauważywszy następnie, że kwestya włościańska dotyczy bytu 80% całej ludności państwa, pan Kawelin stawia pytanie: co zrobić? Po działalności zebrani ziemskich i szlacheckich nie spodziewa się niczego. „Pozostaje czekać, jak to i dawniej u nas bywało, na działanie oświeconej i przejętej miłością ojczyzny mniejszości społeczeństwa, wspartej powagą państwowej władzy.“

Godzien uwagi komentarz do tej mowy spotykamy w tygodniku *Strana*. „Słowa p. Kawelina rozumiemy tak, że usługi oświeconej, przejętej miłością kraju mniejszości będą i nadal potrzebne narodowi, i nadal wspierane powagą władzy państwowej — tylko już nie bez narodu, już nie bez udziału bezpośredniego z jego strony i nie bez jego powagi, wezwanej na pomoc władzy państwowej.“ Jestto główna nuta przebijająca się we wszystkich głosach, a streszczająca się w tych słowach cytowanego już pisma: „niechaj lud pozyska sam możność wypowiedzenia swoich potrzeb, sam rozstrzygnie swoje sprawy; po za tą drogą rozwiązywania kwestyi nie widzimy zbawienia... Jeżeli dzieło 19 lutego, pomimo że było przygotowanym i opracowanym przez najdzielniejsze umysły, przez najszlachećniejsze usiłowania poświęcającej się dla narodu jego mniejszości, której projekty otrzymały sankcję władzy prawodawczej, w rezultacie swoim doprowadziło jednak do przesilenia, to dalej niepodobna już liczyć na te same środki. Sprawa uwolnienia i uwłaszczenia trudną była w latach 1859—61. Lecz kwestya naprawy niedokładności tego dzieła, kwestya zaostrzona przez wywłaszczenie, jakie się szerzy naprzekór uwłaszczeniu, przez ucisk ekonomiczny i administracyjny, „który ironicznie spogląda nam w oczy, jakby na urąganie wielkiej myśli oswobodzenia — to nie da się już rozstrzygnąć dawnym sposobem: z inicjatywy władzy ze współudziałem pewnej liczby wykształconych ludzi. Dla skutecznego załatwienia sprawy potrzeba już więcej bezpośredniej świadomości — słowem, niezbędny jest głos samego narodu.“

Gazety zajęte temi wspomnieniami nie nadaly dostatecznego rozgłosu faktowi, który zaszedł w uniwersytecie petersburskim. Wiadomo czytelnikom, że podczas uroczystego aktu tej instytucji część studentów, mianująca się „kółkiem centralnem“, rozrzuciła buntownicze proklamacje i wywołała manifestację przeciwko ministrowi oświaty. Gdy sąd winnych ukarał i wydalil, zdawało się, że chwast wyrwany z korzeniem. Tymczasem „centralne kółko“ dało znak życia i wystąpiło przeciwko swemu profesorowi, słynnemu chemikowi Mendelejowowi, który zganił studenckie awantury. Musiało „centralne kółko“ dostatecznie pomścić tę nagane, skoro Mendelejew zawiadomil słuchaczy na ostatniej lekcji, że katedrę opuszcza. Nie chce bowiem narażać się na dotkliwie, bezimienne zniewagi, które nie oszczędzają ani jego ludzkiej, ani naukowej czci. Daremne były próby młodzieży, profesor nie uległ. To też dojrzała i rozumna opinia, niechrząca każdej awantury mianem bohaterstwa, nie może znaleźć dość ostrych słów dla potępienia sprawców tego wypadku. Najliberalniejszy i zawsze w obronie młodzieży stojący dziennik *Strana* pisze: „Wprzód was prześladowała administracya i działalność wasza w tych warunkach kwitła. Teraz może dla was zdarzyć się coś daleko gorszego od prześladowań administracyi, jeżeli nakoniec dokuczycie samemu społeczeństwu. Jak „akademycy niemiecy“ nie przyjęli do akademii szanownego uczonego rosyjskiego, podobnie wy teraz wyganiacie go nawet z uniwersytetu, a czynicie to dla tego, że nie uznajecie żadnej łączności ze społeczeństwem, że uważacie się za uprawnionych do okazania mu jawnego lekceważenia z powodu swych niezrozumiałych i bezmyślnych wicherzeń. Wiercie, nie ma roli niewdzięczniejszej, jak rola kółka, które dokuczyło publiczności; a wy widocznie chcecie rolę tę odegrać.“

## LIBERUM VETO.

Kalendarz reporterski. — Chroniczne wieści. — Z ubiegłego tygodnia. — Poszukiwanie nowych źródeł podatku. — Rewizja przepisów prawa małżeńskiego. — „Stara lira“ w sprawie służebności. — Zatwierdzanie kanalizacji. — Zły jego wpływ na p. Apfelbauma. — Swojskość tego pana. — Dwór Melpomeny i jego budynki. — Bohater arystokratycznego dramatu. — Za 245 rubli. — Mowa Spasowicza. — Polemika z *Porządkiem*. — Świstek socjalistyczny w Warszawie. — Ojcowskie napomnienie i pretensya *Gaz. Polskiej*. — Skarga Jeża.

Reporterom pism codziennych należałoby w dostarczaniu wiadomości zrobić bardzo ważne ułatwienie. Mianowicie, można by ułożyć kalendarz z rozkładem na wszystkie dni miesiąca rozmaitych nowin, które dziś powtarzają się ciągle, ale bez żadnego ładu i systematyczności. Zdarza się np. że doniesienie o zatwierdzeniu kanalizacji przypadnie raz w odstępach tygodniowych, a drugi raz w miesięcznych; albo ponawia się bardzo często, albo nie daje znaku życia. Czyby więc nie należało spisać wszystkie wieści chroniczne i przytwierdzić do pewnych oznaczonych dni? Byłaby to wielka wygoda dla reporterów i czytelników: pierwsi wiedzieliby, co im z kolei doniesić wypada, drudzy — jakie numery projektów nie zostały jeszcze wylosowane. Dając dobry przykład urzeczywistnienia tej myśli, spisując kolejno z ubiegłego tygodnia niewylosowane jeszcze doniesienia:

*Sobota*. Poszukiwanie nowych źródeł podatku.

*Niedziela*. Rewizya przepisów prawa o małżeństwie.

*Poniedziałek*. Ostateczne uregulowanie służebności.

*Wtorek*. Ostateczne zatwierdzenie kanalizacji.

*Sroda*. Ostateczne wydanie koncesyi na drogę Iwangrodzko-Dąbrowską.

*Czwartek*. Regulacya koryta Wisły.

*Piątek*. Nowy teatr.

*Sobota*. Szkoła w Łęcznie.

Takie były główne lunacyereporterskie na niebie naszej prasy, z którego ani na chwilę nie schodził obserwowany przez wszystkie teleskopy p. Apfelbaum.

Co do pierwszej nowiny, to łatwo pojmuje czytelniku, że nie myślę wcale pomagać komisji do wynalezienia nowych źródeł podatku; owszem, bardzo cieszę się z jej kłopotów. Gdyby szło o źródła nafty lub siarki — rzecz inna; ale podatek nie jest wcale produktem ani tak pożądanym, ani tak skąpo unas rozpowszechnionym, ażeby go trzeba było prywatnymi siłami pomnażać. Komisya, utworzona w r. 1879 do wypracowania projektu reformy podatkowej, zastanowiwszy się dobrze przez 1½ roku nad swymi pomysłami, doszła do przekonania, że musi zdobyć się na inne. Zanim te inne również w własnych jej oczach zbledną, reporterzy będą mieli nieraz jeszcze sposobność donieść o... pracach komisji podatkowej.

Wiadomość o rewizji przepisów prawa małżeńskiego obudziła się, jeśli mnie pamięć nie myli, po trzech latach. Jakkolwiek przed zaśnieciem jej pisma rosyjskie upewniały, że władza konsystorzów ulegnie znacznemu okrojeniu na korzyść sądów, wątpię bardzo, ażeby ta operacya miała być tak bliską. Więść o niej jest może tylko prostym reporterskim domysłem, zwykłą kaczką, puszczoną na staw dziennikarski.

Sprawa służebności od czasu swych narodzin przybierała tyle kształtów, że doprawdy nie wiem, który w niej jest ostatnim. Miała być pozostawioną w obecnym stanie, uregulowaną przymusowo, przyspieszoną na drodze układów dobrowolnych, powierzona w kwestyach spornych sądom i t. d. Jaką wiadomość przyniesie fala, która nadpłynie po wydrukowaniu moich słów, nie wiem; dla tego wolę cię nie balać czytelniku i — jak Niemcy mówią — „pozostać przy starej lirze“.

Nie zliczyłbym nawet przybliżenie, ile razy kanalizacja według naszych pism już została zatwierdzona, chociaż dotąd mimo ciągłego wylazania na dachy i wyglądania p. Prezydenta, nie możemy się doczekać tej radosnej wieści. Już kilkakrotnie reporterzy, przysłoniwszy oczy rękami, krzyknęli: „Jedzie — wiecie!“, drgnęliśmy, klasnęli w ręce, aż tu zamiast p. Prezydenta ukazał się inżynier miejski, jadący z Petersburga po nowe „papiery“. Pogodzilibyśmy się z losem łatwo, gdyby te zawody nie wpływały tak ujemnie na p. Apfelbauma, dzierżawcę wywózki błota. Ani kontrakt, ani naznaczone kary, ani krzyki całej prasy nie zdołały pobudzić tego pana do uprzątnięcia bodaj jednej kupki. Zapewne rozumuje on sobie tak: jeśli kanalizacja już zatwierdzona, to Lindley weźmie się zaraz do roboty i ulice oczyści; po co ja mam się fatygować? Że p. Apfelbaum nie kłopotuje się o nasze zdrowie, o skutki wyziewów z nagromadzonego błota, dziwić to nie powinno. Władze sanitarne tak nas przyzwyczaiły do stoicyzmu higienicznego, że nie możemy brać za złe prywatnemu przedsiębiorcy, gdy na naszych chorobach chce zarobić. A zresztą coś warta swojskość. P. Apfelbaum jest możliwy tylko u nas.

Jakkolwiek postawiwszy trójnog na pierwszym lepszym pomniku sławy p. Apfelbauma, zięjącym wyparami, można poczuć natchnienia Pytyi, nie prorokując: kto otrzyma koncesyę na drogę Iwangrodzko-Dąbrowską, bo to — mówiąc językiem *Dniwa*. *Warszawa*. — Jest dla nas zwykłych śmiertelników *ganz Pomade*; kto ureguje Wisłę, bo w to nie wierzę; kto założy nowy teatr, bo jestem przekonany, że pani Mel-



pomena będzie miała dla siebie w Warszawie jeden tylko dom, a inne budynki posłużą do niższych przeznaczeń jej dworu.

Miła ta bogini ma u nas obecnie bardzo dużo do roboty. Przybył jej *mały* teatr, przybyły poranne w niedziele przedstawienia, przybył skrzętny wikaryusz teatralnej kapliczki przy Tow. Dobroczynności, przybędą niedługo ogródki, te niewyczerpane krynice reporteryi letniej, słowem. niedługo gdzie spojrzymy, stać będą przybytki tej muzy. Nie nie szkodzi; skoro zaczęliśmy pisać „arcydziela“ sceniczne na cześć arystokratów, musimy mieć dużo teatrów, bo mamy dużo bohaterów.

Oto jeden z nich, uwieńczony... w sądzie. Pojechał do Paryża i wziął sobie guwernantkę, nie jakąś pierwszą lepszą, ale kuzynkę pani Crémieux. „Co zaszło między nią a hrabią — powiada adwokat nauczycielki — w to nie wchodzi i wchodzić nie mogę,“ dość że p. hrabia, któremu nauczycielka również wchodzić do swego pokoju nie pozwoliła, postanowił tę niezdobytą twierdząc ogłodzić. Umieścił ją samą w pustej oficynie, do której w nocy strzelano, nie kazał dawać obiadów i śniadań, wreszcie, gdy wszystko nie pomogło, zaczął listami znieważać. Skarga biednej kobiety doszła aż do francuskiego ministra spraw zagranicznych, który zobowiązał swego konsula do zaopiekowania się rodaczką. Wytoczono w jej imieniu p. hrabiemu proces — o zniewagę? nie; o jakieś wielkie wynagrodzenie szkód i strat? nie; o dwieście kilkadziesiąt rubli — o jednomiesięczną pensję i kosztą powrotu do Paryża. Miły Jezus! a cóżby na to powiedzieli przodkowie p. hrabiego, gdyby z grobu powstał i usłyszeli, o co ich potomek się procesuje! Dla wydobycia dwustu rubli z posiadacza wspaniałych pałaców i zuchwałych lokajów trzeba było aż sądu, konsula, ministra spraw zagranicznych Francji! Za dwieście rubli p. hrabia pozwolił swemu obrońcy ujawnić wstydlivą tajemnicę domową co do mniemanej córki, a przeciwnej stronie — taktikę pokonywania guwernantki! Zmieniają się czasy, rody, pojęcia obowiązków i honoru. Sędzia pokoju, uwzględniwszy ten postępek, skazał pozwanego na zapłacenie żądanej sumy. Oby tylko p. hrabia nie zaapelował do Zjazdu a Zjazd nie „zapropomował“ mu wynagrodzenia guwernantki — jak to niedawno na żądanie gospodarza uczynił z jakimś lokatorem — bo p. hrabia, jak ów lokator z pewnością byłby propozycyji nie usłuchał.

Wypadek z tą propozycją — *predłożeniem* zdarzył się równocześnie z podaną przez wszystkie pisma nasze mową Spasowicza, wypowiedzianą w Petersburgu na zebraniu towarzystwa prawników. „Przy wprowadzeniu reformy do Królestwa Polskiego nie zastosowano ustawy o sędziach przysięgłych, a postępowanie sądowe winno się odbywać po rosyjsku. Prócz pierwotnego swego założenia: wymierzania sprawiedliwości i przywrócenia naruszonych stosunków — reforma stała się środkiem zaprowadzenia w jednej z dziedzin życia społecznego mowy rosyjskiej, a ten językowy polityczno-narodowy cel zaszkodził prawnej stronie sprawy. Dwie te okoliczności zmniejszyły znaczenie i użyteczność reformy. Wybierać należy jedno z dwojga: albo kwestya językowa jest rzeczą zachcenia, czasowego mniej lub więcej przyjaznego stosunku prawodawstwa do innych plemion: jednych pozbawia języka dla tego, że są azyatami, drugich — za ich krnąbrność i winy polityczne, trzecim — pozostawia go za wierność prawomysłną. Przy takim postawieniu kwestyi logika na nie się nie zda do jej rozwiązania, a słowa w rodzaju: korzyść państwową, interes państwowy — nie mają znaczenia. Prawodawstwo musi wybierać albo ustawy sądowe w całej ich rozciągłości, bez obcinania, skazeń, ale z poświęceniem języka — na sądzie bo-

wiem należy dochodzić jedynie prawdy i jedną drogą, a zatem jak ewangelia niech będzie ona głoszoną dziesięcioma, dwudziestoma, wszystkimi możliwymi językami ziemi; albo, na pierwszym planie winien być cel filologiczny: sąd jest przede wszystkim nauczycielem moralności i wychowawcą narodu w pojęciach prawdy; w takim zaś razie można wydawać ustawy w sposób utrudzający do nich przystęp masom, oraz zmieniać je w najważniejszych ich częściach, pod ich firmą i tytułem wprowadzić coś, jakkolwiek do nich podobnego, lecz w gruncie rzeczy gorszego — z nadmienieniem, że tylko w odległej przyszłości, gdy podsądni w całych masach znać już będą język oficjalny, wtedy dadzą się im istotne, zupełne instytucje sądowe. Lecz nie było przykładu narodu oświeconego, w znaczeniu jego historycznym, któryby zatrzymał lepsze instytucje dla siebie, a inne, mniej doskonałe, dał obcym, przyswajającym przez niego ludom — dopóki takowe nie wyuczą się obcego im języka, — co dokonywa się nader powoli.“

Miedzy kilkoma pismami naszymi a gazetą petersburską *Poriadok* wywiązała się dziwna, rozśmieszająca polemika. Warszawski korespondent tej gazety doniósł, że wśród nas puszczono świstek socjalistyczny p. t. *Gawędy z ludem roboczym* i że jego nieletni redaktorowie, wychowawcy szkół rosyjskich dostali się w ręce policyi. Na doniesienie to kilka pism naszych odpowiedziało, że owe *Gawędy* nie tylko w Warszawie się nie pojawiły, ale nawet pojawić się nie mogły. Daremnie korespondent utrzymuje, że je widział, że wiadomość swą czerpie ze źródeł urzędowych — zadano mu kłamstwo. Spór zaczął być śmiesznym; nie chcąc w tej śmieszności brać udziału, nie myślę dowodzić widzącemu, że nie widzi, „dobrze poinformowanemu,“ że nie wie, wsunę tylko między wojujące strony uwagę, którą nawet sam korespondent zrobił: i cóżby było w tem nadzwyczajnego, gdyby taki świstek rzeczywiście się pojawił? Propaganda socjalistyczna przeciska się do wszystkich miast Europy, dla czegożby nie miała przecisnąć się do Warszawy? Dla czego objawienie się jej u nas jest *niemożliwem*? Czy i w tym względzie mamy być najświętsi? Jeżeli korespondent *Poriadka* twierdzi, że polskie socjalistyczne piśmiśko widział, niech ta wiadomość biegnie sobie w kurs na jego kredyt; ja zaś, chociaż go nie widziałem, nie mam ani prawa, ani potrzeby przeczyć. Co najwyżej powiedzieć mogę do tych, których on wykrył: szanowni apostołowie socjalistycznej ewangelii, nie głoscie bzdurstw, bo nie zbierzecie rzeszy a dostaniecie się do kozy.

Pozwól mi teraz czytelniku policzyć się z kilkoma zarzutami, a naprzód z zarzutem „niezastanowienia,“ ofiarowanym mi po ojcowski przez *Gaz. Polską* z następującego powodu. Jak wiadomo przed kilku miesiącami uwięziono K. Miarkę, jakoby za nadużycie przesłanych na jego ręce składek. Nietylko pisma niemieckie, ale nawet zagraniczne polskie potwierdziły to krzywdzące oskarżenie. Niedosć tego: przyjechał do Warszawy jeden z redaktorów szląskich, p. P., który hojną ręką rozsiewał najgorsze o Miarcie wieści. Jakkolwiek prasa warszawska nie odbiła w swych kolumnach echa tych pogłosek, przeniknęły one jednak o tyle, że wytworzyły potrzebę dowodnego oczyszczenia z nich Miarki w oczach naszego społeczeństwa. Sądziłyśmy, że redakcyje mające możność skutecznego podjęcia tej roli, rozproszą potwarczy rzut, osławiający człowieka, którego ogół nasz zaszczycił tak wielkiem zaufaniem. Tymczasem zamiast gruntownej obrony, spotykamy w kilku pismach jednobrzmiące i ogólnikowe zapewnienie o niewinności Miarki. Przeczytawszy ten plakat, zauważyłem w poprzednim nume-

rze *Prawdy*, że on dla sądowego oskarżenia, obelg prasy niemieckiej i szląskiej stanowi „przeciwagę za małą“ i że „uczciwie zasłuży się ten, kto większą zdobędzie.“ Tyle tylko potrzeba było *Gazecie Polskiej* do wytoczenia mi w swych szpaltach procesu: 1) za nieusprawiedliwione jej zaczepienie; 2) za używanie broni, którą walczy inny współzawodniczący z *Prawdą* tygodnik; 3) za wyrządzenie ciężkiej krzywdy nieszczęśliwemu człowiekowi. Ponieważ dla *Gazety Polskiej* „prawda jest zasada,“ może więc szan. przeciwniczka zechce mi powiedzieć, gdzie ją zaczęłem? Wyczytawszy artykuł w kilku pismach, mówilem o kilku pismach, nie wspomniawszy nawet tytułu *Gazety Polskiej*, gdyż wogóle *Prawda* stara się w polemice zachować zupełną bezimienność. Powtóre, jakiej to ona używa broni, którą dotąd walczył tylko jakiś tygodnik? Zdaje mi się, że w arsenale naszym nie ma ani jednego oręża, którego by *Gazeta Polska* bez obrazu dla siebie w polemice przyjąć nie mogła, jeśli naturalnie wyłączymy zasadę, że wszystko, co jest przeciw niej jest przeciw czci. Po trzecie, czemu to my wyrządzamy krzywdę Miarcie, jeśli żądamy od tych, którzy zaopiekowali się jego honorem, ażeby bronili go lepiej? Kto go obwinia? Sąd niemiecki, gazety pruskie i szląskie — czy dla nich wystarczy ogólnik? Czy uwagi nasze, które skłoniły *Echo* do naiwnego wyznania nie pomogły sprawie, zdjawszy z artykułu *Gaz. Polskiej* szkodliwy dlań charakter komunikatu? Ponieważ *Gaz. Polska* lubi polecać innym „zastanowienie,“ sądzę więc, że zastanowiwszy się nad temi pytaniami, zszycie napowrót swą rozdartą z oburzenia szatę a co najmniej w wystąpieniach swoich przeciw *Prawdzie* nie będzie dla niej wyszukiwała porównań według niematematycznej reguły: dwie ilości niezgodne z trzecią, są sobie równe...

Nakoniec małe sprostowanie. T. T. Jeż pisze w *Tyg. Ilustrowanym*: „Nie sposób wyobrazić sobie przykrości większej nad tę, jakiej doznawać się zdarza rzemieślnikom, gdy odrzucają im robotę zamówioną... Redakcyja *Prawdy* sprawiła mi przykrość z osłódnieniem pigulki, zwracając mi artykuł, zawierający ocenę ogólną pracy p. W. Przyborowskiego p. t. *Włoszanie u nas i gdzieindziej*. Zwrót odbył się w sposób grzeczny i uprzejmy; był jednak dla mnie niespodzianką, która mnie zdziwiła wiele.“ Ponieważ pisarzowi tak przez nas cenionemu jak T. T. Jeż nie mieliśmy zamiaru zrobić przykrości i nie chcemy, ażeby nas posądzał o zadawanie mu „pigulek“ nawet „słodzonych,“ prostujemy skargę szan. autora następującem wyjaśnieniem. „Obstałowaliśmy“ u niego nie sprawozdanie z książki p. Przyborowskiego, lecz w ogólności artykuły; owo sprawozdanie odebraliśmy w chwili, gdy specjalny nasz krytyk historyczny referat swój już nam dostarczył; odesłaliśmy Jeżowi jego rękopis natychmiast z objaśnieniem zwrotu i prośbą, ażeby w dalszych korespondencyach nie dotykał książek u nas wychodzących, gdyż ciągle zdarzać się mogą podobne spotkania, zwłaszcza, że oddaleni od autora, nie możemy ani jego uwiadomić, o czem sami piszemy, ani wiedzieć, o czem on pisać zamierza. Mimo całej czci, jaką mamy dla Jeża, nie wahałobyśmy się ani chwilę wyrazić naszej niezgody na jego artykuł; w tym jednak wypadku rozstrzygnęła zupełnie inna okoliczność. Dla czego nam Jeż nie uwierzył?

Posel *Prawdy*.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 marca.

Ogólną cechą polityki dni ostatnich jest polepszenie się stosunków pomiędzy kurją



rymską i rządami mocarstw europejskich. Zarówno w Niemczech jak i we Francji występuje pomyślny zwrot w tym kierunku. Przyczyną tego jest z jednej strony pokojowe usposobienie wpływowych sfer przy Watykanie, a z drugiej znowu złe skutki walki kościelnej, jakie się, w Niemczech zwłaszcza, coraz więcej uwidatniają. Zresztą wspólna sprawa zagrożonego przez socjalistyczne podkopy obecnego ustroju społeczno-państwowego znakomicie wpływa na skłonienie rządów do możebnych ustępstw w zakresie stosunku państwa do kościoła.

We Francji, pomimo energicznego podciągnięcia duchowieństwa pod ogólne postanowienia prawa państwowego, stosunki z Rzymem poprawiły się, dzięki osobistym usiłowaniom nuncjusza papieskiego, Msr. Czackiego. Przyobieczał on starać się o to, ażeby w przyszłości żaden jezuita jako nauczyciel ani do gimnazjum, ani do seminarjów przystępu nie znalazł. Ministerjum zaś ze swej strony oświadczyło, że nie ma nic przeciwko temu, ażeby dominikanie i inni członkowie zakonnych stowarzyszeń, nawet w właściwych sobie ubiorach, odbywali kazania pasyjne w kościołach francuskich. Pomimo to wszelako minister wojny Farre, przy obradach parlamentarnych nad systemem rekrutowania armii, głosował za wnioskiem o pociągnięciu do odpowiedzialności wojskowej wychowawców duchownych i nauczycielskich seminarjów.

W Niemczech ustępstwa na polu walki cywilizacyjnej świadczą jedynie o tem, że ks. Bismarck czuje konieczność rachowania się z położeniem kraju i poparciem, jakiego mu brak po upadku i rozbięciu partji narodowo-liberalnej. Z tego też powodu, wobec nadchodzących wyborów do parlamentu, widzi on się zmuszonym do oddziaływania na szersze masy wyborców. Tą zatem okolicznością tłumaczy się jego polityka wewnętrzna względem reform podatkowych a raczej ulg, jakie na rzecz klas roboczych mają być dokonane. Również jako demonstrację przedwyborczą należy uważać ostatnie wystąpienie kanclerza z obszerną mową w mało stosunkowo ważnej sprawie administracji miejskiej, a mianowicie w sprawie podatku od mieszkań. Książę Bismarck wystąpieniem przeciwko opodatkowaniu mieszkań chciał pozyskać poparcie dla swej polityki w kole berlińskiego mieszczaństwa, które dotychczas dostarczało stale zastępu członków parlamentarnych narodowo-liberalnej partji. Tym sposobem kanclerz, który na zapytanie, czy nie chciałby pogodzić się z partją liberalną, odpowiedział, że nie chce kupować papierów, które spadają i żadnych widoków podwyżki nie przedstawiają, wystąpieniem swem w parlamencie zaatakował liberalizm w jego własnym obozie. Prasa atoli berlińska przestrzegła zawczasu najliberalniejszą część ludności niemieckiej i zdaje się, że taktyka kanclerza pomyślnego nie odniesie rezultatu.

Anglia sposobi się do energicznego wystąpienia w Afryce południowej i Irlandyi. Widoki pokojowego załatwienia walki z boerami upadły po ostatniej klęsce anglików w Transwaalu. Rząd bowiem po wojennem niepowodzeniu nie uzna za godne swojej wielkości i dumy narodowej traktowanie o pokój ze zwyciężką rzecząpospolitą holenderskich kolonistów. W przewidywaniu dalszej wojennej akcji, której rozmiaru w czasie i przestrzeni przewidzieć niepodobna, rząd angielski ma zamiar przystąpić do reorganizacji armii na podstawie projektów generała Roberta.

W sprawie grecko-tureckiego sporu nie mamy żadnych pozytywnych wiadomości. Pierwsze zebranie rady posłów odbyło się u Göschena poczem obradowano u Tissota. Niemieckie gazety przygotowują

publiczność do możebnego niepowodzenia swojej dyplomacji w sprawie granicznego sporu. Zdaje się, że widoki pokojowego załatwienia jej nie poprawiły się w czasach ostatnich.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** W początkach b. m. odbyło się walne zebranie galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, pod przewodnictwem księcia Adama Sapiehy. Sprawozdanie poucza nas, iż Towarzystwo to w ostatnich czasach znacznie upadło, do czego przyczyniło się niezwykle zubożnienie jego członków. W ostatnich czasach, niezależnie od subsydjum, otrzymywanego od rządu, Towarzystwo starać się musiało o subwencję na koszt administracyjny od sejmu, który uchwalił ją na ostatniej swej sesji w wysokości 3,000 złr. rocznie. Subsydjum, udzielone przez rząd Towarzystwu gospodarskiemu w roku ubiegłym w ilości 14,000 złr. użytym zostało jak następuje: 4,550 złr. przeznaczyło Towarzystwo na podniesienie chowu bydła; na podniesienie uprawy lnu 3,300; na statystykę rolniczą 2,500; na pszczolnictwo i sadownictwo 1,200; na wydawnictwo pisma *Rolnik* i stypendya 1,400; resztę użyto na utrzymanie szkoły fachowej uprawy i wyprawy lnu.

Towarzystwo gospodarskie utrzymywało do niedawna swym kosztem szkołę rolniczą w Dublanach, dziś szkoła ta przeszła na koszt kraju, a Towarzystwo nie jest nawet w stanie zdobyć się na utrzymanie własnego organu *Rolnika*, jedynego rolniczego pisma w Galicyi i wyjednało dlań stałą subwencję od rządu w wysokości 800 złr. rocznie. Smutna to doprawdy ilustracja stosunków galicyjskich!

— Grono wychowawców b. Szkoły Głównej, wyprawiło w dniu 5 b. m. obiad b. prof. dr. Szokalskiemu, celem okazania mu uznania swego za gorliwą pracę dla dobra ogółu. Osób zebranych było około pięćdziesięciu.

— Testament ś. p. Kickiego, przeznaczający przeszło milion rubli na rzecz Towarzystwa Osad rolnych, z zastrzeżeniem obracania dochodów na założenie instytucji, mających na celu dobro publiczne i korzystać włościan Królestwa, został zatwierdzony, dzięki poparciu l. W. naczelnika kraju.

**Literatura polska.** Zeszyt marcowy *Biblioteki warszawskiej* zawiera prace następujące: *Apoteoza człowieka i wznawienie dualizmu wschodniego w filozofii wschodniej* przez Seweryna Smolikowskiego; *Nowo odnaleziony pomnik piśmiennictwa polskiego* przez Zdzisława Dębskiego; *Przegląd teatralny* przez R. W.; *Siostra miłosierdzia*. Powieść przez Emila Castelara; *O najważniejszych odkryciach geograficznych w roku 1880*, przez Wacława Nałkowskiego; *Nowe dokumenta do dziejów apostołów słowiańskich*, przez Bronisława Grabowskiego; *Zdobycie Babilonu* przez Cyrusa, według ówczesnej kroniki babilońskiej. Notatka historyczna, przez I. Radlińskiego; *Wycieczka do Białowieży*, przez Zygmunta Glogera; *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne; Nekrologia*.

— Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wyszły ostatnie dwa tomy *Dzieł Adama Mickiewicza*, w zupełnie nowym, powiększonym wydaniu, w nowym układzie, którym zajmował się Wład. Mickiewicz wspólnie z Rettlem.

— W *Bibliotece Polskiej*, wydawanej przez tę księgarnię, ukazały się *Pamiętniki Wybickiego*, w nowym wydaniu.

**Dziennikarstwo polskie.** W d. 6 b. m. wyszedł w Krakowie pierwszy numer dwutygodnika polskiego p. t. *Krakowianin*.

— Do *Kłosów* dołączono jako premium nader piękny drzeworyt, będący kopią obrazu Matejki *Gryfina w sporze małżeńskim z Leskiem Czarnym*.

— *Wiek* rozpoczął w osobnym dodatku druk ciekawej pracy: *Wspomnienia i pisma z czasów mojego wygnania*, Ludwika Kossutha.

**Literatura niemiecka.** Wiedeńska firma Hartlebena wydała do tej pory już dziesięć tomów dzieł J. I. Kraszewskiego, a mianowicie z powieści: *Hrabinę Cosel*, *Ulanę*, *Sfinksę*, *Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił* i *Straconego syna*, oraz utwory dramatyczne: *Trzeci maja* i *Trafila kosa na kamień* (po niemiecku: Stahl und

Glein). Firma wspomniana zawarła z J. I. Kraszewskim, umowę w celu wydania wszystkich jego powieści w przekładzie niemieckim a przytoczone powyżej przekłady rozpoczynają olbrzymie to wydawnictwo.

**Malarstwo i rzeźba.** Na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych przybyły następujące obrazy: Alchimowicz Kazimierz *Cyganka*, *Włoszka i Głowa dziewczynki* — studia; Grabowskiego Andrzeja *Portret prowincjała OO. Bernardynów*; Kleczyńskiego Bohdana *Piątkę*; Laszczyńskiego Bolesława *Zamysły wojenne* (Pan Tadeusz pieśń V); Ryszkiewicza Józefa 4 obrazy: *Na drodze*, *Ucieczka*, *Schadzka* i *Strach*.

**Teatr.** Na scenie warszawskiej wystawiono po raz pierwszy oryginalną komedję Leopolda Świderskiego p. t. *Jesienią*.

— We Lwowie rozpoczęła przedstawienia w teatrze hr. Skarbka francuzka trupa nadworna ks. Karola rumińskiego, pod dyrekcją p. Deschamp.

**Nekrologia.** Mikołaj Ferenczih, zasłużony publicysta słowacki, redaktor *Narodniego Hlasnika* i *Narodnich Nowin*, zmarł w d. 3 b. m. w St. Martin, w Węgrzech.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**P. Skj.** Usprawiedliwienia wyrzutów i zarzutów pańskich ani w zasadach naszego pisma, ani w wywodach przytoczonego artykułu dopatrzyć się nie możemy. Wynika to zapewne stąd, że Pan nie przeprowadzasz dość ściśle granicy między spotwarzaniem teoryi a jej krytyką. Nam idzie tylko o tę ostatnią. Znamy bardzo dobrze zasługi tego systematu i umiemy cenić jego pozytywne wnioski, ale co dla jego wyznawców jest ewangeliją lub kanonem, to dla nas może być tylko przedmiotem swobodnego rozbioru. Nie żądamy Pan od nas dla tej szkoły posłuszeństwa i nietykalności. Że ona oddziaływała szeroko i głęboko, przyznaliśmy sami na wstępie artykułu. Co do praw natury — mówi przecie o nich sam George, a mówią niemal wszyscy inni. Co do braku pozytywności psychologicznej — czegoż innego dowodził np. żądanie, ażeby jedyną miarą pracy był czas na nią zużyty? Straconej młodzieży żałujemy; żeby ona jednak miała być „najlepszą“ — nie sądzimy.

**P. A. St. w Niemirowie.** Z odparciem wiadomości o przyczynie pożaru kościoła i niewłaściwego postępowania proboszcza udaj się Pan do pisma, które wiadomość tę pomieściło. Nie mamy miejsca na prostowanie cudzych błędów, a fakt sam przez się jest drobny.

**Prenumeratorowi.** Wyjaśnić możemy Panu na tem miejscu tylko bardzo krótko. Pojęcia: *umysł*, *rozum*, *charakter* — są pojęciami tak nieokreślonemi, że każde stanowcze powiązanie ich dla wyrażenia jakiejś prawdy naukowej jest bardzo wątpliwem. Jeżeli panu idzie o charakter moralny, to biorą w nim udział zarówno uczucia jak i sądy etyczne, zarówno więc pierwsze jak drugie muszą być kształcone.

**P. Filipowi Skor. w Włocławku.** Komplet wysłany.

**P. St. Mil. w Ber.** Już wysłano.

**P. W. Sok. w Kijowie.** Wysłaliśmy ponownie.

**P. K. Woj.** Zwróćcie się Panowie bezpośrednio do *Tygodnika Ilustrowanego*, który składki na pomnik dla Mickiewicza przyjmuje. Odpowiedź owego magnata wcale nas nie dziwi. Jeśli hr. Stanisław Potocki za 245 rs. 50 kop. obnaża przed sądem zgorzenie swego domu i kompromituje przed zagranicą polskie możnowładztwo, to cóż dziwnego, że jakiś tam B. żałuje dla Mickiewicza kilku rubli. A wreszcie mają słuszość; oni się jego natchnieniami nie karmia.

**Pani A. J. w Petersburgu.** Niedługo poruszymy tę sprawę; usłużyłaby Pani jej, dostarczywszy nam faktów z życia kobiet kształcących się.

**P. Pien. w Kibartach.** Wartość rzeczywistą w tym katalogu posiadają dzieła: Bartoszewicza, Hofmana, Mommsena i Szujskiego. Historia literatury polskiej Spasowicza już się drukuje; w tym przedmiocie będzie to książka pożyteczna.

**Drowi I. T.—H. w Zw.** Dziękujemy — skorzystamy.

**Sprostowanie.** W Nrze 9, w *Kron. bież.* mylnie podano nazwy miejscowości, około których odkopano cmentarzysko pogańskie. Nie *Rozanki* lecz *Kozanki*, nie *Chwaliboszyce*, lecz *Chwalibóżyce*; Dąbie i Łęczycę nie stacye kolei, lecz stacye pocztowe.